Abonentów 13,000.

Nr. 33. Poznań, Niedziela 12-go Sierpnia 1900 r. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę;** *na poczcie w Austro-Węgrzech* **59 cent.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,65 mr.,** *w Austro-Węgrzech* **1 złr.,** *za Oceanem* **1 dolar.**

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Niemiecki młot i anarchistyczny sztylet.

W ubiegłym tygodniu miała Europa dwie wielkie sensacye. A musiały to być sensacye nielada, jeśli wrażenie sprawiły w tej Europie, tak przesyconej elektryzującemi wiadomościami z dalekiego Wschodu.

Pierwsza sensacya — to mowa cesarza Wilhelma II-go w Bremerhaven, wypowiedziana z okazyi wyprawienia do Chin nowych pułków niemieckich. Druga sensacya — to zamordowanie króla włoskiego Humberta. Nieomal w tejże chwili, gdy cesarz Wilhelm w Bremerhaven wymawiał słowa:

> *„Pardon wird nicht gegeben. Gefangene werden nicht genährt, führt eure Waffen so, dass auf tausend Jahre hinaus kein Chinese es wagt einen Deutschen scheel anzusehen"*

nieomal w tymże samym czasie kula zdradzieckiego anarchisty utkwiła w piersi jednego z najsympatyczniejszych królów Europy — króla Humberta.

Pomiędzy najbardziej oddalonymi objawami ludzkiego życia istnieje nieraz pewien związek przyczynowy, choć go z pozoru nie widać. Tak samo i pomiędzy powyższymi dwoma faktami istnieje pewien ideowy związek, który jasnym się staje, gdy się zważy w jakim stosunku oba te fakty pozostają do cywilizacyi.

Słowa cesarza Wilhelma, wypowiedziane do jego żołnierzy, żeby pardonu nie dawać i jeńców nie brać, bezwątpienia przejdą do historyi i stanowić będą jeden z klasycznych pomników, w których z podziwienia godną prawdą i dokładnością skrystalizowały się pojęcia wieku o zadaniach cywilizacyi i jej środkach.

Były wieki — dziś już do dalekiej należące przeszłości — kiedy szerzenie cywilizacyi w inny pojmowano sposób: cywilizacyę i kulturę chrześciańską szerzyli pierwsi chrześcianie, gdy z krzyżem w ręku, bezbronni, szli modląc się, na całopalne stosy wśród urągającydh tłumów — i zwyciężyli a w ich osobie zwyciężyła cywilizacya.

Były i później czasy, gdy nasza królowa Jadwiga chcąc nawrócić Litwę przemogła głos serca i oddała rękę litewskiemu księciu a tak ofiarą i miłością dokonano wielkiego dzieła przymierza, na którem oparła się potężną fala cywilizacyi i przeniknęła w niedostępne puszcze litewskie.

Dziś jest inaczej: dziś cywilizacyę mają szerzyć uzbrojone pułki i to w ten sposób, aby jeńcom pardonu nie dawać, aby przerażeniem i postrachem się stać obcemu narodowi na lat tysiące. Tradycye Hunnów i dzikiego ich wodza Attylli, tradycye Tamerlana krwawego świętują swój zwycięski powrót do nowożytnej cywilizacyi, a miejsce polityki miłości zajmuje polityka „opancerzonej pięści," polityka „niemieckiego młota". Należy to spamiętać.

Należy zauważyć jednak i stosunek drugiego wypadku cywilizacyi współczesnej. Oto właśnie w czasach, gdy niemiecki młot podniesiony jest w górę, aby zmiażdżyć czaszki obcych, — anarchistyczna kula przeszywa pierś monarszą. Ta sama cywilizacya, która nam daje jedną ręką jako kwintesencyę, jako wykwit etyki chrześciańskiej, teoryę niemieckiego młota, na którym wyryto znamienne słowa *„Pardon wird nicht gegeben"* — ta sama cywilizacya drugą ręką, jako wynik panującej teoryi społecznej podaje nam — anarchistyczne morderstwo.

Warto się nad tem zastanowić, bo w epokach, gdy cywilizowano nie armatami Maxima, lecz słowem bożem i ewangelią krzyża, a nie opancerzonej pięści — w czasach tych nie było anarchistycznych morderstw.

Hr. Bülow rzekł w grudniu z. r. w parlamencie: W wieku XX Niemcy będą młotem, albo kowadłem!

Wielki i szlachetny naród niemiecki jest, zdaniem hr. Bülowa, znienawidzony dziś powszechnie. Dziwić się niema czemu. Niemcy potężnie rozrosły się cudzym kosztem, a dzisiaj sięgają daleko po za nie-

mieckie granice. Niemcy rozglądają się za zaborem u schyłku wieku z takim samym zapałem, z jakim na początku wieku o wolności wielkich ludów marzyli: na żer czyha sęp niemiecki z podstępną łapczywością i czeka tylko na sposobność schwycenia zdobyczy.

Całą ziemię zaludniają dziś ludy bądź to przez Niemców pokrzywdzone, bądź z góry na pokrzywdzenie upatrzone. „Nienawidzą nas — *der Hieb ist die beste Deckung*“ brzmi hasło i opancerzona pięść wyciąga się po nowe zdobycze. Ziemia cała w pojęciach zaborczych sępów powinna być jednem kowadłem, na którem młot niemiecki wybijać będzie zwycięski swój hymn „*Deutschland über alles.*“

Pamiętajmy, mówił hr. Bülow, że fala wypadków ruszyła: bądźmy gotowi do czynu.

Gdzie dostrzegł niemiecki minister ten zaczątek ruchu dziejowej fali? Do kogo się zwracał z groźnemi słowy? Tak zapytywali wówczas publicyści w całej Europie i nie widać było z tych słów nic prócz tego, że „opancerzona pięść“ niemiecka wyszukuje sobie ofiarę, na którą z całą siłą spaśćby mogła.

Mowa cesarska w Bremerhaven była niejako zakończeniem, ostatniem zdaniem tamtej mowy: bo żołnierze usłyszeli rozkaz: pamiętajcie, że się nie daje żadnego pardonu, że się jeńców nie bierze!

Czyżby cywilizowanie Chin miało się zatem rozpocząć od wyrzynania Chińczyków, rannych, wziętych do niewoli, chorych, starców, kobiet i dzieci, a może nawet wszystkich, paruset milionów, bo przecież w dalszym ciągu oznajmił cesarz żołnierzom: wszelka kultura, która nie jest zbudowana na chrześciańtwie, musi zginąć, — a że chińska na chrześciańtwie się nie opiera, więc ma ginąć?

Opancerzona pięść niemiecka, uzbrojona w młot, pluskać więc będzie we krwi i morze krwi wypłynie, zanim Chiny będą „ucywilizowane“.

Jest to takie same pojmowanie cywilizacyi, jak ją pojmowali Krzyżacy wobec Słowian nadbałtyckich i Litwinów.

Charakterystycznem jest jednak, iż epoka współczesna, która takie pojmowanie chrześciaństwa i cywilizacyi wytworzyła, wytworzyła również i antispołeczną doktrynę anarchizmu, na której krwawym sztandarze też wypisano: *niema pardonu!*

I w istocie czy winnego lub niewinnego dosięgnie sztylet, bomba lub kula rewolwerowa anarchistyczna, to wszystko jedno: niema pardonu! Niedawno padł Aleksander II-gi, rozerwany na sztuki bombą dynamitową, potem prezydent Carnot, zasztyletowaey nielitościwie, po nim Aleksander III, otruty powolnie działającą trucizną, potem cesarzowa Elżbieta, niewinna kobieta, której jedyną zbrodnią było to, że nosiła koronę na skroniach, padła pod ciosami morderczego żelaza, a już w ostatnich czasach następca tronu angielskiego ks. Walli cudem uszedł śmierci, wreszcie padł pod strzałem z rewolweru szlachetny król Humbert.

Długa litania, a zapewne jeszcze nie koniec: na kogo teraz padnie wybór żądnych krwi rozbestwionych anarchistów?

Spoglądamy w ciemną przyszłość. Nad strugami krwi przelanej zbrodniczem żelazem anarchisty lub ulepszoną bronią pułków europejskich unosi się „opancerzona niemiecka dłoń z młotem“ i napotyka broń anarchistyczną.

Ten młot i ten sztylet z jednego one zrobione żelaza: ukuła je ta współczesna kultura, której hasłem jest „*Siła przed prawem! Niema pardonu!*

Vester.

Z poważnej strony otrzymujemy jeszcze słów kilka o

dyr. Rygerze a scenie poznańskiej.

Ostrza krytyki surowej, jednostronnej, nie pytającej o łagodzące okoliczności, zapewne nigdy jeszcze nie ugodziły w kierownika sceny naszej tak, jak na ostatniem walnem zebraniu Spółki teatralnej.

Stanowczy wyrok potępienia padł z ust głównego mówcy, p. dyrektora Więckowskiego na p. Rygera, wyrok zawierający dwa ciężkie zarzuty: 1) obniżenia artystycznej i duchowej wartości sceny, a 2) wyzyskiwania teatru poznańskiego dla materyalnych, samolubnych celów czyli wybijania z teatru wyłącznie prywatnych korzyści.

Dostarczone przez p. dyr. dr. Kusztelana cyfry dochodów i rozchodów teatru zdawały się przemawiać poniekąd za słusznością ujemnego sądu a słabe tylko głosy uniewinnienia i obrony nie zdołały w pierwszej chwili złagodzić wrażenia, które wywołał p. dyr. Więckowski swą naganą, w silne i dobitne ujętą słowa.

Nagana ta, w sprawozdaniach ogłoszona, poruszyła żywo drzemiącą o teatrze opinią, długo kołysaną do snu słodkiemi hymnami pochwalnemi na scenę naszą i jej kierownictwo w niektórych organach prasy wielkopolskiej. — Przyzwyczajono się już do napotykania w łamach pism codziennych pochwał niebywałych. To też otrzaskana z rozmaitemi niespodziankami publiczność, zdumiała na widok bezwzględnie potępiającego, nie złagodzonego żadną uwagą sprawozdania a raczej tak ostrej krytyki, niedopuszczającej choćby najlżejszego usprawiedliwienia.

Nikt nie wątpi, ani też wątpić nie ma prawa, że p. dyrektorowi Więckowskiemu wzgląd na dobro publiczne, wzgląd na wyjątkowe znaczenie sceny polskiej w naszych stosunkach, na zdobycze moralne i umysłowe, mające z niej spływać na społeczeństwo — podyktował ocenę zbyt ujemną dotychczasowej działalności dyrektora teatru. A właśnie dlatego, że krytykę ostrą usłyszano z ust obywatela, który w najtrudniejszych sytuacyach uznania godną zachowywał miarę w słowie i równowagę w czynie, zaciekawienie było ogólne, czy i o ile opinia poznańska weźmie p. Rygera w obronę, a nadto co p. Ryger na zarzuty odpowie?

Otóż zaprzeczyć się nie da, że opinia nasza okazała się mniej ostrą niż kryteryzm p. dyr. Więckowskiego. Zaraz w pierwszej chwili po opublikowaniu referatu z walnego zebrania Spółki teatralnej można było spotkać się w Poznaniu prawie wyłącznie z ubolewaniem nad krzywdą wyrządzoną kierownikowi naszej sceny. Jednocześnie dwa szczególnie dzienniki tj. „Goniec Wielkopolski“ i „Orędownik“ wystąpiły w obronie p, Rygera uwzględniając wyjątkowo trudne zadanie i trudne warunki teatru poznańskiego. Z poza obrę-

bu dziennikarstwa sam tylko p. mec. Woliński zabrał głos na korzyść p. Rygera, zaznaczając, że jeśli gospodarka w teatrze poznańskim wykazuje dziś, w przeciwieństwie do czasów dawniejszych, poważne zyski, to raczej pochwalić niż ganić należy, a jeśli dobór sztuk nie zawsze wyższym wymaganiom odpowiadał, natenczas winy złego szukać trzeba w guście publiczności, nie zaś w kierowniku sceny, który do tego gustu, chcąc się utrzymać, stosować się musi.

Wobec krytyki niezmiernie ostrej, prawie wszechstronnie potępiającej należała się dyr. Rygerowi obrona, należała się tym bardziej, że objął przybytek naszej Melpomeny zaniedbany, źle zagospodarzony, niezasilany tak znacznemi zapomogami, któreby mu dozwalały materyalnie a nakazywały moralnie być w nim wyłącznie kapłanem sztuki w najwznioślejszem jej pojęciu.

Należała się też obrona p. Rygerowi ze względu na różnorodne wymagania publiczności, którym na *jednej* scenie trudno, ba, niepodobno sprostać. W teatrze naszym podług pretensyi rozmaitych sfer kół i kółek powinien być i dramat i tragedya i komedya a nawet operetka i opera nie byle jaka! Jeden pragnie tego, drugi owego, a gdy dyrektor temu lub owemu życzeniu istotnie zadość uczyni, wtedy najczęściej rozczarowanie — pustki w teatrze!

Należała się wreszcie obrona p. Rygerowi przed zarzutem, iż wystawa sztuk była nędzną! Przedewszystkiem zaznaczyć się godzi, iż wiele sztuk, które z świetnym sukcesem były grywane na różnych scenach europejskich, wystawił p. Ryger z niezaprzeczoną, a nawet oklaskiwaną szczerze starannością. Ale nawet największa zabiegliwość, największe wysiłki częstokroć zawodziły w pieniężnych sukcesach. Że zaś niekiedy wystawność była mierną, że gra artystów mniej staranną, to przecież powinno się uniewinnić słabsze niekiedy przygotowanie z powodu niezmiernie obszernego repertuaru, mogącego jedynie zapewnić scenie poznańskiej byt materyalny.

Tyle ku obronie!

Zgrzeszylibyśmy wszakże względem publicznej sprawy, gdybyśmy na apologii p. Rygera zamknąć chcieli nasze uwagi, a nie zganili mu, że wobec krytyki, jakkolwiek surowej, nie umiał zachować należytej równowagi, że nie potrafił powściągnąć namiętnych swoich wybuchów, i gdybyśmy w bieżącej chwili, w chwili lepszego materyalnego powodzenia nie przypomnieli mu obowiązków wobec społeczeństwa, któremu scena poznańska ma służyć.

Na urozmaiceniu repertuaru sztukami, zdobywającemi tani poklask i napełniającemi kasę, nie może się kończyć jego zadanie. Spekulować wyłącznie tylko na płytki zmysł estetyczny i niewyrobiony gust publiczności kierownik sceny narodowej nie powinien. W takich rachunkach doszlibyśmy prostą drogą konsekwencyi do tego, że sztuki nawet najujemniej działające na zmysły mogłyby śmiało ukazywać się na naszej scenie — byle „robiły kasę!“ Byłoby to parodyą idei, której zawdzięczamy istnienie poznańskiego teatru!

Potrzeby nasze społeczne, nasze ideały, bez których żyć zbiorowem życiem byłoby niepodobno, nasze postulaty obyczajowe, od których wartość nasza zawisła, nasza wspólna dążność do duchowego udoskonalenia powinny stanowić ideową wytyczną w pracy p. Rygera. Bez niej nie może liczyć ani na poparcie życzliwe ani nawet na pobłażliwość tych sfer narodu, które najchętniej spieszą do przybytku sztuki polskiej. Sprawozdanie finansowe dowodzi, iż teatr nasz przy zabiegliwej gospodarce i skrzętnej pracy, którą chętnie uznajemy w dzisiajszem kierownictwie, nie tylko utrzymać się, ale nawet poważniejsze zyski przynosić może. Z materyalnego sukcesu nie można zapewne robić zarzutu, wszelako można i trzeba publicznie z tegoż powodzenia wysnuć kierownikowi sceny obowiązek pamiętania o wyższych naszej sceny zadaniach. Im lepiej będzie umiał wiązać własny dorobek z wyższemi, szlachetnemi, żądającemi większego poświęcenia celami, tym będzie w oczach naszych doskonalszym stróżem i kapłanem przybytku sztuki dramatycznej w naszym grodzie.

Życzymy tego panu Rygerowi i ufamy! *Narodowiec.*

W sprawie naszej młodzieży gimnazyalnej.

Ponieważ dochodziły nas wiadomości z różnych miast w Księstwie o bezwzględnej polityce tłumienia wszelkich objawów polskości u młodzieży gimnazyalnej w licznych zakładach naukowych, chcąc się zatem przekonać naocznie o wiarogodności rozmaitych wersyi uprosiliśmy jednego z naszych współpracowników, aby kolejno odwiedził gimnazye w główniejszych miastach Księstwa i stosunki tam istniejące scharakteryzował.

Stosunki panujące w gimnazyum w Wągrówcu, rewizye odbyte u uczniów w niektórych innych miastach Księstwa — wszystko to zbyt wyraźne miało cechy systemu, abyśmy nie mieli przypuszczać, że w naszej młodzieży gimnazyalnej gdzieindziej chcą biurokratyczno-szpiclowską metodą zabić budzące się poczucie narodowe.

Dla rozmaitych względów chodziło nam w pierwszej linii o gimnazyum we Wschowie. Przekonawszy się jak rzeczy stoją, ani chwili się nie cofamy przed tem, aby bezwzględnie wydobyć na widok publiczny obraz losu naszej tamtejszej młodzieży pod okiem czujnego dyrektora, p. Teodora Matschky.

Pan Matschky, z trudnem do wymówienia nazwiskiem, jest jednym z założycieli i filarów miejscowej filii związku hakatystycznego. Pan ten od pewnego czasu zaczął odwiedzać gimnazyastów Polaków i szperać pomiędzy książkami.

Gdy się zdarzyło, że znalazł jaką polską książkę, nieukontentowanie jego nie miało granic i gorzkie czynił uczniom wyrzuty, że nie czytują książek z biblioteki gimnazyalnej. Potem na posiedzeniach szacownego związku bractwa trzech liter długie wygłaszał mowy przeciw szerzącej się agitacyi wielkopolskiej i nakłaniał członków do bystrego baczenia, aby do rąk gimnazyastów Polaków nie dopuszczali książek polskich. Raz się też zdarzyło, że gdy pewien gimnazyasta zamówił sobie jedną książkę polską z Poznania i książka ta nadeszła pocztą, to zaledwie doręczona została, gdy w parę godzin zjawił się pan dyrektor i szukał książek, pomimo że podobną rewizyę urządzał niedawno temu.

Wobec tego uczniowie gimnazyalni nieraz są zmuszeni brać książki z biblioteki gimnazyalnej choćby dla pozoru.

Lektura, jaką pan dyrektor Matschky chce szerzyć pomiędzy naszą młodzieżą, jest prawdziwem zabójstwem i trucizną dla młodzieńczych serc. Książki powieściowe w tej bibliotece przeważnie są wybierane naumyślnie o treści wrogiej Polakom i katolicyzmowi. Obrażają one narodowość i religię naszą w tak wysokim stopniu, że matka jednego z gimnazyastów, którego podobną książką uszczęśliwiono, zobaczywszy książkę wypożyczoną z gimnazyum napisała wraz z kilku innemi paniami skargę do ministeryum — no i dotychczas niema odpowiedzi.

Inni uczniowie z takiemi książkami rozprawiają się w ten sposób, że w najgorszych miejscach przeciw Polakom na

marginesach wypisują, co myślą o Prusakach. Jedną z takich książek jest np. „*Eine feste Burg ist unser Gott*“, dalej życiorysy Lutra kalwina i innych, które każdemu do ręki wpychają. W jednym domu polskim rodzice kazali uczniowi wypożyczyć jaknajwięcej takich książek, zamknęli je pod klucz, mówiąc: „przynajmniej inni ich teraz czytać nie będą“, — ale to jest tak, jakby kto chciał rzece wodę odjąć, czerpiąc szklankami.

Uczniowie polscy są na dyrektora oburzeni zwłaszcza za ten dobór książek, z których on chciałby najwięcej widzieć w ręku polskiem takich, jakie są prawdziwym szczytem szału antypolskiego.

Gdy przed Wielkanocą zwiedzał uczniowskie pomieszkania pan dyrektor, w jednem miejscu natrafił przypadkiem na tegoroczny kalendarz „Piast“ i z pewnością siebie twierdził, że jest to skonfiskowana książka, aby ją tylko zniszczyć.

Dopiero jeden z nauczycieli objaśnił, że te kalendarze stoją w oknie księgarni Niemca Trogischa do nabycia. To dopiero uratowało kalendarz z rąk krzewiciela niemieckości.

Bezwzględność rewidujących mieszkania uczniowskie panów przechodzi czasem granicę. W jednem miejscu taki rewident zapędził się aż do prywatnego mieszkania i chciał rewizyą zaczynać od kuferka służącej, myśląc, że tam są może książki uczniów schowane, bo kuferek mu na to wyglądał, mając oklejony wierzch rozmaitemi rycinami. Dopiero gdy właścicielka kuferka zjawiła się z warzęchwią w ręku, rozpoczął się odwrót rewidenta przed tak przekonywającym dowodem.

Do kilku Polaków o szóstej rano już wpadł jeden z nauczycieli, którzy dobrowolnie przyjęli na siebie wykonywanie tej policyjno-politycznej kontroli. Sądził, że znajdzie coś, ale mu się nie udało, bo ci właśnie uczniowie należą do obojętnych i żadnemi prośbami koledzy nakłonić ich nie mogą do czytania polskich książek. Zresztą obojętnych takich niestety nie brak.

Jeden ofiarował takiemu „obojętnemu“ prześliczną książkę, którą każdy gimnazyasta Polak przeczytać powinien: *Syzyfowe prace* M. Zycha, ale tamten jej dotychczas nawet nie przeczytał, bo mu chodzi, aby do ćwiczeń niemieckich „nie zepsuł sobie języka polonizmami.“

Nauczyciele gimnazyalni idą naturalnie śladami dyrektora. Wielu ich należy do Hakaty. Potem na lekcyach powtarza jeden brednie napisane w „*Ostmarce*“, że tu niema cywilizacyi („dopóki są Niemcy — zapewne, że nie“,*) bo Niemcy jeszcze nie zdołali wszystkiego przekształcić.

*) Tak uczniowie Polacy mówili sobie po lekcyi owego profesora.

Inny znowu profesor swe zdolności w kierunku policyjnym objawia w ten sposób, że gdy uczniowie Polacy wychodzą na pauzę na podwórze, aby zagrać w piłkę, on się wkrada napowrót do klasy i przeszukuje książki szkólne Polaków, sądząc, że może coś znajdzie.

Młodzież tutejsza z tego powodu pobudzona jest do największej ostrożności.

Korespondent „Pracy“ doznał u uczniów we Wschowie miłego i serdecznego przyjęcia, którego szczegóły nie nadają się do druku. Odjechał, przestrzegłszy uczniów, aby jeśli mają kiedy pisać list do jakiejkolwiek redakcyi, nie wysyłali go wprost ze Wschowy, lecz aby oddawali list na innej jakiej poczcie, a dalej, aby na liście zawierającym opowiadania się nie podpisywali, natomiast osobno przesyłali redakcyi wiadomość, że ten i ten przesłał list do redakcyi w tej a tej sprawie.

Do skreślenia stosunków panujących w innem jeszcze gimnazyum później powrócimy. *X.*

W obronie najbiedniejszych.

W kilku ostatnich numerach „Pracy“ wskazaliśmy już na rozmaite odłogiem leżące pola pracy społecznej u nas, wiążąc to z życzeniem, aby wszyscy ci, co w sobie czują powołanie do bezinteresownej pracy dla dobra ogółu, z tych swoich skłonności robili użytek wśród swoich, w kraju, — a jeśli nie w kraju, to przynajmniej — *dla swoich.*

Wypadek zrządził, że możemy już dziś dać czytelnikom naszym, jak wogóle społeczeństwu, jaskrawy dowód, zaczerpnięty z życia, jak bardzo potrzeba dla nas samych wszystkich sił, jakiemi rozporządzamy.

Mamy na myśli tu pożałowania godny brak opieki nad naszymi wychodźcami. Dziwna rzecz, że społeczeństwo, tak zapobiegliwe w przeciwdziałaniu emigracyi, nieczułem się staje na los wychodźców o ile ci raz już przekroczą granicę. Nie ulega wątpliwości, że przyczyną zguby olbrzymiego procentu naszych wychodźców na obczyźnie jest zupełny brak jakiejkolwiek opieki ze strony społeczeństwa naszego.

W zeszłym roku poruszyły opinię publiczną wieści o wymordowaniu robotników polskich przez szeryfa gdzieś w Pensylwanii, — potem pod adresem ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego biegły jęki ciemiężonych jak niewolnicy robotników polskich w Haiti....

Od czasu do czasu ukazują się po gazetach sprawozdania z procesów o złamanie kontraktów najmu przez polskich robotników w Niemczech — a w procesach tych jako motyw opuszczenia służby regularnie figuruje stwierdzone przez rzeczoznawców sądowych złe pożywienie, lub niezdrowe mieszkanie.

Oto jest mniejwięcej wszystko, co ogół wie o złym losie wychodźców. A i z tych wypadków, które przedostają się do wiadomości publicznej dlatego, że dotyczą większej liczby osób, — i z tych wypadków, zazwyczaj tendencyjny wniosek kraj wysnuwa, że *ergo* nie wychodźcie, ludzie z kraju, skoro zagranicą taka was nędza czeka.

O ile jednak staniemy na stanowisku, że wychodźtwo jest pewnego rodzaju siłą żywiołową, którą można i należy kierować i ograniczyć, ale powstrzymać jej nie można, — musimy z tych wypadków nędzy i nieszczęść naszych emigrantów wysnuć wniosek, że należy im zapewnić jakąś opiekę.

Dawno też już zrozumiała to zagranica. Po wszystkich wielkich miastach w Europie istnieją towarzystwa, których zadaniem jest opiekowanie się przejezdnymi i przyjeżdżającymi do wielkich miast biedakami. Niejeden też nasz emigrant, niejedna samotnie odbywająca podróż dziewczyna tym towarzystwom zawdzięcza, że nie zniknęła bez śladu w wielkiem mrowisku ludzkiem. Że jednak nasi emigranci wyruszają najczęściej w świat bez znajomości innego języka, prócz ojczystego, — że z drugiej strony obce towarzystwa opiekuńcze nie posiadają osób, mówiących po polsku, więc i pomoc, na którą emigranci nasi liczyć mogą ze strony tych towarzystw jest prawie żadna. Na wielkich dworcach kolejowych w Berlinie, Frankfurcie nad Menem, Lipsku, Bremenie, a zwłaszcza Hamburgu czyhają na przyjeżdżających wychódźców oszuści, którzy pod pozorem stręczenia hotelu, kupienia biletu itd. wyłudzają z emigrantów ostatni grosz, porzucając potem swe ofiary na bruku; dziewczęta zaś gorszy los czeka.

Jak często nasi wychodźcy stają się łupem wyzysku, o tem niestety żaden konsul sprawozdania nie pisze. Czasem, i to rzadko, jakimś trafem przedostanie się wieść o wyzysku i rozpaczliwa prośba o pomoc.

Jesteśmy w posiadaniu listu następującej treści:

„W czerwcu rb. odbywałam podróż do Hamburga, aby stamtąd udać się do Ameryki. Wraz ze mną w tym samym wagonie jechała Katarzyna Pienta, z Galicyi, pochodząca ze wsi Kozendrna(?), (powiat Ropczyce), w wieku 18—20 lat. Miała już przy sobie bilet na parowiec do Chicago i 12 guldenów majątku. Przyjechałyśmy do Hamburga 26 czerwca o

jedenastej godzinie w nocy. Mną się zaopiekowała kompania Falka, a tę dziewczynę z oczu straciłam. We trzy dni później (29 czerwca) idąc do biura bankowego, aby zmienić sobie pieniądze, spotkałam tę samą dziewczynę. Tak strasznie źle wyglądała, że aż się zdziwiłam. Pytam więc ją, gdzie ona przebywa i co się z nią dzieje. A ona zaczęła strasznie płakać i prosić na litość boską, aby się nią zająć i ratować.

— Mnie chyba zamordują tutaj, gdzie mnie zabrali — powiada — chciałam już oknem uciekać. Trzy dni mnie trzymali i nikogo z pasażerów, którzy mieli jechać razem ze mną, nie widziałam, a przedewszystkiem odebrali mi wszystkie pieniądze, co miałam, to jest 12 reńskich. Powiedzieli mi, że to jest zamała zapłata za ten czas co muszę czekać w Hamburgu i jeżeli chcę zarobić to muszę ich we wszystkiem słuchać, co sobie życzą i mnie rozkażą, bo jeśli nie, to mnie ze zbójami szupasem odstawią.

Na to ja tej dziewczynie powiadam: „Chodź ze mną, pokaż mi dom gdzie mieszkasz“, — a ona mnie zaprowadziła do jakiegoś domu na samem wybrzeżu. Wchodzimy do sieni, a tam stał w cieniu jakiś wysoki, chudy żyd i pyta mnie z góry: „Czego tu potrzeba? Tu niema po co przychodzić!“ i kazał mi się wynosić. Na to ja starałam się go delikatnie uprosić, aby pozwolił pomówić z dziewczyną, bo to moja znajoma. Więc się na to zgodził, ale stał przy nas i pilnował uważnie, co my mówimy.

Na zapytanie, kiedy ona wyjedzie, odrzekł, że w najbliższą niedzielę dużo dziewcząt odjedzie do Ameryki a ona z niemi. Mogłam tylko po cichu obiecać Kasi, że napiszę o niej list i będę się o nią dopytywać. Czy zajechała na miejsce, bo miała jechać do Chicago do jakichś państwa Agaty i Walentego Lew, (Hinman Street No. 673), ale niestety nie zajechała tam, gdzie miała zajechać. Ja chciałam do konsula iść, ale nie mogłam się dopytać gdzie on jest. Trzeba tę dziewczynę ratować. Ja ten dom sobie w Hamburgu zauważyłam, był to nr. 82, a na rogu ulicy był napis Theerhof. Dziewczynie kupiłam bułek, bo mówiła, że cierpi głód.“

List powyższy dosadnio maluje los, jaki grozi pozbawionym opieki kobietom. O ile można wnosić, dom na ulicy Theerhof 82 w Hamburgu był zakładem, który prowadzi z Ameryką handel żywym towarem. Aby, o ile to jest możliwem, przyjść z pomocą biedaczce, posyłamy wiadomość o zaszłym fakcie policyi w Hamburgu, oraz austryackiemu konsulatowi w Hamburgu, celem rozpoczęcia poszukiwań.

Nie możemy tu jednak pominąć ogólniejszej strony omawianego faktu. Dowodzi on, jak bardzo potrzebne są w wielkich miastach, zwłaszcza w Hamburgu, agencye opiekuńcze polskie, któreby, działając w porozumieniu z konsulatem, lub na własną rękę, rozciągały opiekę swą nad tymi mianowicie wychodźcami, którzy, przyjeżdżając do Hamburga, nie wiedzą na dworcu, w którą stronę zwrócić swe kroki. Na każdym pociągu, przywożącym wychodźców (czwartą klasą) powinien się znajdować ktoś do opieki nad bezradnymi przybyszami. Na dworcu łatwo ich jest znaleść, bo przybywają w osobnych wagonach czwartej klasy (t. zw. *Auswanderer Wagen.*) Zajęcie się tą sprawą wdzięczne przedstawiałoby pole dla wszystkich tych, którzy w poczuciu wysokiego swego posłannictwa, chcą z zaparciem się siebie siły i zdrowie poświęcać dla dobra ludzkości.

Wyobraźmy sobie tylko kapłana-rodaka, który codzień przychodzi na każdy z szesnastu przychodzących do Hamburga pociągów i jest prawdziwym ojcem i opiekunem tych najbiedniejszych, — bo nieświadomych niebezpieczeństwa wśród obcych ludzi — wychodźców! Co to za zasługa przed Bogiem, co to za zasługa wobec własnego narodu! Co za wyczerpująca, rujnująca siły działalność! Zapewne bardziej ona może nawet siły i zdrowie zniszczyć, niż pobyt w gorących krajach, a i ilością dusz zbawionych, a przynajmniej od zagłady uratowanych z pracą w tamtych strefach porównać się nie może. Opatrzność dała opiekunów obcym, dzikim ludom — może i nasi rodacy doczekają się kiedyś takiego misyonarza — boć to ci.... najbiedniejsi.

Kazimierz Radwan.

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Nie znam narodu, któryby umiał silniej kląć, więcej pić, zręczniej kraść, bezczelniej kłamać i być tak chciwym na ordery a bezdusznem narzędziem w ręku swego pana.

Rozbierzmy te cnoty po szczególe.

Język jest tak bogatym, tak obfitym w przekleństwa, iż pod tym względem tak co do ilości jak siły i oryginalności, żaden inny nie może iść z nim o lepsze. Twórczy geniusz narodu wysilił się w tym względzie.

Wprawdzie Anglik, Amerykanin także klną co trzecie słowo, ale ich słownik bardzo ubogi: „God dam“ i „Son of a bitch“ — to wszystko. Tymczasem w mojej obecności Moskal wygrał zakład, klnąc przez 15 minut bez przerwy i bez powtarzania się.

A były to przekleństwa tylko powszechnie używane, jakie tam 100 razy dziennie obijają się o uszy. Moskal bowiem klnie zawsze i wszędzie, nawet wtedy, gdy chce komu powiedzieć kompliment. Klnie pijany i trzeźwy, klnie witając, klnie przy pożegnaniu, słowem klnie przy każdej sposobności, czy wesół, czy też smutny, zarówno w gniewie jak z wielkiej radości. Jest to jego zdawkowa moneta w stosunkach towarzyskich.

. . . .

Rosya $^1/_3$ swego budżetu pokrywa dochodem z podatku propinacyjnego. I nic dziwnego. Pijaństwo bowiem wszędzie zakorzenione od warstw najniższych aż do samego cara. A dla wszystkich najmilszym jest trunek narodowy: śmierdząca wódka. Bogatsi piją tam czasem i szampana, ale tylko dla szyku, wódkę zaś dla przyjemności. A im mocniejsza tem lepsza — nikt zaś wodą nie popija; a nie widziałem, aby się kto skrzywił.

Najwyższa to rozkosz, największy szyk upić się, potłuc lustra, szklanki i butelki, połamać stoły i krzesła. Bogatszy robi to w restauracyi lub w wesołym domu, biedniejszy zaś w szynku. Podobne sceny są na porządku dziennym. Właściciele zakładów są tak z tem oswojeni, iż najczęściej obojętnie się przypatrują tej dzikiej hulance, jeśli awanturnik jest znanym i można liczyć, że strata z zyskiem pokrytą będzie.

Moskal woli pić w towarzystwie, ale potrafi się też i w samotności upić. Niekiedy pije przed lustrem.

Pewien oficer zobowiązał się słowem nie pić, chyba tylko w podróży lub podczas mrozu dla rozgrzania. Ale Moskal na wszystko znajdzie sposób. Każdy ukaz carski, każde prawo lub dobrowolną umowę, nawet słowo honoru potrafi obejść, a sumienia swego nie obrazić. Oficer tedy, aby nie łamać danego słowa, a jednak się upić, rusza w podróż. To znaczy, że rozłożywszy mapę na stole, palcem ku niej sunie ku północy. A w miarę jak się do bieguna zbliża, zaczyna biedak coraz bardziej drżeć od zimna. „Brrr!... Wańka! podawaj wódki!“ — krzyczy.

Wańka tedy podaje mu butelkę,

a pan kapitan tak często do niej dla rozgrzewki zagląda, iż zanim pospiesznym marszem zdążył dotrzeć do bieguna już leżał pod stołem jak nieżywy.

Pijaństwo, rzec można, to zwyczaj narodowy. Zamiast krwi, wódka krąży w żyłach Moskala. Byłoby wprost wstydem dla niego, gdyby się nie upił, zwłaszcza w takie święto, jak Nowy Rok albo Wielkanoc. Kogo na tę przyjemność nie stać, ten przynajmniej udaje pijanego. Zatacza się, potrąca przechodniów i wszczyna awantury a w końcu nawet, dla lepszego złudzenia, przewraca się w błoto i leży tam, biedak, obok radcy stanu.

Nie ma w tem żadnej przesady. Wychodzące w Moskwie pismo humorystyczne p. t. „Konik polny“ zamieściło taki rysunek: Leży w błocie świnia, a obok niej pijanica. Ten ostatni, budząc się, ręką wokoło maca, a natrafiwszy na grzbiet towarzyszki, zapytuje: „Kto to?“ Ale się zaraz spostrzega i mówi: „A prawda, nie poznałem. Przecież to mój przyjaciel, radca stanu w futrzanej szubie.“ Mówiąc nawiasem, redakcya za ten dowcip grubo skazaną została.

Ktoś słusznie kilku wymownemi słowy określił charakter przeciętnego miasta w Rosyi. Rogatka — szynk — parkan — szynk — urząd — szynk — kościół — szynk — parkan — szynk — znów rogatka — i oto całe miasto.

W Rosyi piją na łokcie, a właściwie na arszyny. Rozumieć to należy w literalnem znaczeniu. Istotnie bowiem w niektórych okolicach stawiają przed gościem cały szereg kieliszków podług miary. A potem mówi się: wypił tyle i tyle arszynów.

. . . .

Co zaś do kradzieży, to Moskal niezrównany, gra pierwsze skrzypce. Jakkolwiek skandale berlińskie i panamskie zdumiewają swym ogromem, lecz charakter ich odrębny. Moskal też nie lęka się żadnej konkurencyi, pierwszeństwa wydrzeć sobie nie pozwoli. Tam bowiem kradzież jest tylko zboczeniem od zasad moralności, gdy przeciwnie, w Rosyi zasadą jest kradzież, a uczciwość zboczeniem. Kradną tam wszyscy od dołu do góry. Mają nawet specyalnego patrona złodziei, który popularnie jest zwany: Siomka.

Ten święty bodaj że najwięcej świec dostaje z prośbą o pomyślną kradzież. Siomka sam podobno kradł sprytnie a tak szczęśliwie, że go nie złapano nigdy, i dlatego cieszy się sławą i uznaniem. W Rosyi bowiem nie ten złodziej, co kradnie, ale ten, co się da złapać. Na złodzieja schwytanego każdy mówi: krugom durak! albo: wot durak! ale bynajmniej nie dlatego, że kradł. Owszem, dowcipna, a zwłaszcza poważna kradzież, jedna pewne poszanowanie. Juchamew n. p., który na kilka milionów bank okradł, jechał na Sybir w karecie, a po drodze nawet generałowie go spotykali, oddając mu honory.

Ulubionym też tematem rozmów towarzyskich są dowcipne kradzieże. Można całe tomy o tem pisać. Dziwna, iż dotychczas żaden autor nie wzbogacił takiem dziełem literatury moskiewskiej.

Mnóstwo też istnieje piosnek i przysłów. Niektóre są bardzo charakterystyczne, jak np. „wszystko można, byle ostrożnie“. Najdosadniejsze to: „Moskalowi obie ręce utnij, on jeszcze kraść będzie.“ Albo: Prawdziwego Słowianina okpi Niemiec; Niemca okpi żyd; żyda Włoch; Włocha Grek; a Moskal wszystkich razem w kozi róg zapędzi.

Są też i przepowiastki, czasem bardzo wymowne, n. p. Węgier, żyd i Moskal radzą nad sposobami zdobycia pieniędzy. Pierwszy odzywa się Węgier: Myślałem, jakby okraść zegarmistrza. A żyd na to: Ja już próbowałem. Moskal zaś kończy z tryumfem! Ja go już okradłem!

Szczęśliwy to naród! Sam car Mikołaj mawiał, że oprócz niego „wsie pijanicy, wsie wory, wsie wziatoczniki.“ (Wszyscy pijacy, wszyscy złodzieje, wszyscy łapownicy.) Był zbyt grzecznym dla siebie przez uszanowanie tylko. Wiedział bowiem dobrze, że i on nie bez grzechu.

Ale niech nikt nie sądzi, że kradzież jest tam wadą. Przeciwnie, jak już nadmieniłem, własność jest kradzieżą. Widzimy więc, że stosują się do postępu, a nawet o wiele wyprzedzili filozofów tej szkoły. Jest to bowiem u nich zabytek odległej przeszłości, szczątki dawnych urządzeń komunistycznych, kiedy podstawą była wspólność. Mówię to seryo.

Do tego stopnia żyją tam jeszcze te pojęcia, iż nawet adwokat, stając w obronie złodzieja, który okradł bank, wyszedł z tej zasady: Wodę i ryby w niej — mówił — las, grzyby, ziemię, jak powietrze, lud przywykł uważać za wspólną własność, a ztąd nawet zrabowanie owoców w cudzym ogrodzie nie uważa za występek. Bank, towarzystwo — to małe społeczeństwo. Nie ma tam pojedyńczego właściciela, a ztąd i własność mniej widoczna, przez niektórych łatwo za wspólną może być poczytana. Klient mój zatem nie popełnił występku i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z TYGODNIA.

Wieść o strasznem morderstwie popełnionem przez anarchistę na osobie króla włoskiego Humberta, niesłychanem przerażeniem przejęła całą ludność. O szczegółach morderstwa piszą, że gdy król Humbert wracał z placu ćwiczeń gimnastycznych w Monzy, miasteczku włoskiem, witany okrzykami ludności licznie zebranej, jakiś człowiek podsunął się z prawej strony powozu i strzelił parę razy do króla, który stał prosto w powozie, odpowiadając ukłonami na radosne okrzyki ludności. Król wtedy upadł na poduszki powozu, woźnica zaciął konie i powiózł króla do zamku. Lecz król trafiony w serce już konał. W chwili gdy go przeniesiono do pałacu, uleciało z jego piersi ostatnie tchnienie.

Cała scena wykonania zamachu trwała bardzo krótko. Król, w chwili gdy został ugodzony, pobladł bardzo i krzyknął. Króla położono na poduszki w apartamentach parterowych. Wówczas pojawiła się królowa Małgorzata. Zobaczywszy króla nieruchomo leżącego i bladego, zapytała, czy jest ranny. Z trudnością ją oderwano od ciała. Zanim trupa rozebrano i lekarze stwierdzili śmierć, nadeszła królowa powtórnie. Dowiedziawszy się, że król nie żyje, zemdlała. Wszyscy obecni padli na kolana z płaczem.

Z placu ćwiczeń można jeszcze było słyszeć krzyki wściekłości, wydawane przez ludność przeciw mordercy: „Zabijcie go!“ Tłumy rzuciły się na zbrodniarza, który odrzucił wtedy rewolwer od siebie.

Z trudnością udało się policyi wyrwać zbrodniarza z rąk rozwścieczonego tłumu. Morderca nazywa się Bressi. Jest robotnikiem w fabryce jedwabiu. Należy do partyi anarchistycznej i otwarcie się

przyznał do tego. Z największym cynizmem się zachowywał i wyraził zadowolenie, że czyn mu się udał. Przy rewizyi osobistej znaleziono u niego numer gazety włoskiej „Observatore Romano“ zawierający streszczenie mowy z Bremerhaven, z zakreślonym ustępem, gdzie mowa o tem, że „*Pardon wird nicht gegeben.*“

W Rzymie i w innych miastach zaaresztowano licznych anarchistów. Wypierają się jednak oni łączności z mordercą.

Morderstwo popełnione na osobie króla włoskiego jest groźnym objawem, z którego niejedną naukę wysnuć powinni ci co stoją u steru rządów i kierują rozwojem społeczeństw.

W sformułowaniu poglądu o morderstwie tem należy się kierować przekonaniem, że to nie jest fakt, oderwany i odosobniony od ogólnych warunków życia współczesnych społeczeństw: owszem, dopiero rozpatrywanie morderstwa na tem tle społecznem, pojmowanie go jako jednego tylko ogniwa w szeregu faktów powiązanych nierozerwalnie z całem ukształtowaniem się warunków ogólnych, oświetla czyn ten należycie.

Ale gdy z tego właśnie stanowiska na czyn zbrodniczy zapatrywać się będziemy, stanie się on niejako fatalnem *mene-tekel-fares*, które ukazuje się nad istniejącym obecnie porządkiem społecznym — jako ponura groźba i zapowiedź upadku.

O losie Europejczyków w Chinach jeszcze nie wiadomo. Otrzymano podobno list posła angielskiego Macdonalda, wysłany z Pekinu 6go lipca. Brzmi on jak następuje:

„Nie otrzymujemy od władz tutejszych żadnej pomocy. Trzymają się jeszcze trzy poselstwa, pomiędzy niemi angielskie. W naszych rękach znajduje się część murów miejskich. Chińczycy strzelają do nas z miasta z armat. Ustawiono przeciwko nam kilka małych armat i codziennie grozi nam zguba. Daje się nam we znaki brak żywności i amunicyi. Zginęlibyśmy też już dawno, gdyby Chińczycy nie byli tchórzami i mieli plan ataku. Jeżeli nie będą na nas napierali, będziemy mogli utrzymać się jeszcze dwa tygodnie, w razie przeciwnym co najwięcej 4 dni.“

Macdonald radzi oddziałowi, śpieszącemu na odsiecz, aby wszedł do miasta przez bramę wschodnią, albo drogą wodną. Do dnia 6go lipca cudzoziemcy mieli 40 zabitych i 80 rannych.

Z drugiej strony jednak dochodzą zapewnienia, że prócz Kettelera wszyscy posłowie żyją i niebawem staną w Tientsinie pod eskortą wojsk europejskich.

Prasa niemiecka oburzona jest na nas, że odradzamy Polakom udziału w wojnie chińskiej. „*Berliner Tagbl.*“ oburza się też na wszystkie pisma, które otwarcie zaznaczyły, że w wyprawie chińskiej nie chodzi o religię i Kościół katolicki, ale o zaborcze dążenia Europy. Zaznacza też ten organ żydowski, że obowiązkiem „*patryotycznym*“ (!) prasy polskiej było nakłaniać ochotników do Chin.

To brzmi strasznie cynicznie. Bo skądże my Polacy mamy obowiązki patryotyczne względem Niemców? Co nas Niemcy obchodzą i ich przedsięwzięcia w Azyi? Jak od nas żądać można, abyśmy okazywali obcemu państwu niemieckiemu więcej jeszcze przywiązania, niż wymaga od nich ustawa i ponosili ofiary dobrowolne w interesie tego państwa? Polaków nie wiążą z Chinami handlowe i przemysłowe interesa, a trudno poczytywać im za obowiązek przelewanie krwi dla dobra handlowo-kolonialnych przedsięwzięć Niemiec.

Jeżeli zaś „Berl. Tageblatt“ obawia się, że ta postawa prasy w Poznańskiem może ściągnąć na Polaków zarzut, iż nigdy nie dadzą się wychować politycznie w duchu niemieckim (*dass man die Polen nie zu einer deutschen Gesinnung erziehen könnte*), to Polacy w zaborze pruskim z pewnością zarzutu tego się nie obawiają. Jest to raczej pochlebnem dla nas, gdy pośród Niemców panuje przeświadczenie, że Polak nigdy nie przestanie być sobą i nie da się na Niemca przerobić. — Polacy nie będą nigdy „Prusakami, mówiącymi po polsku“, lecz są i będą Polakami, mową, obyczajem i duchem zjednoczonymi z całym narodem polskim, z jego dziejową przeszłością i z dzisiejszemi jego dążeniami. —

My owszem mamy prawo żądać od Niemców, aby nas wszędzie i zawsze tylko za to, czem jesteśmy — t. j. za Polaków uważano. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Rozporządzenie ministra Studta, znoszące naukę języka polskiego i polski wykład religii, wywołało u nas i w innych dzielnicach Polski niesłychane oburzenie.

Poniżej przytaczamy kilka głosów pism polskich, nadmieniając, że w pismach galicyjskich ogłoszone artykuły musieliśmy w krytycznych miejscach trochę zmodyfikować, aby nie wejść w kolizyę z prokuratorem.

Swoją drogą usilnie zalecamy ministeryalnym urzędnikom, aby sobie odczytali to, co o nich piszą pisma polskie w innych dzielnicach. Nasz głos tu w obrębie władz pruskich niezawsze może być tak jasnym i tak szczerym, jakby być powinien: jesteśmy nieraz skazani na przymusowe milczenie, bo są sprawy, w których najwłaściwszem odezwaniem się byłoby takie, za które obecnie praktykowana wobec pism polskich taksa sądowa przepisuje 500 mk. kary lub kilka miesięcy więzienia, ale dobrze byłoby, aby ci panowie ministeryalni, którzy widzą się tu pod skuteczną osłoną sądów pruskich, myślą, że społeczeństwu naszemu usta już zamknęli — dobrzeby było, aby ci panowie przekonali się, że ich działalność coraz to lepiej i właściwiej bywa oceniana. Panu ministrowi Studtowi mianowicie poddajemy pod rozwagę, że już coraz częściej spotykać się można z jego tytułem w ten sposób wypisanym: minister „oświaty“ (!).

Sądzimy, że ten wykrzyknik i cudzysłów zawierają głęboką myśl, dowodzą one bowiem wielkich wątpliwości w cywilizacyjną działalność pruskiej urzędowej „oświaty“.

O samym zakazie p. Studta pisze **„Czas“**:

„...Nowy ten akt tem boleśniej odczuje społeczeństwo polskie, skoro dąży on nietylko do wyrugowania nauki języka polskiego ze szkół, ale nadto podkopuje naukę religii, uchylając jej wykład w języku ojczystym. W ten sposób rozporządzenie pruskiego ministra oświaty jednym zamachem uderza na religię i na język ojczysty, a więc na te dwa czynniki, które obok ziemi rodzinnej, muszą pozostać najcenniejszym skarbem każdego narodu, bo stanowią jego treść i podstawę.

„Przywykliśmy do tego, że pruscy mężowie stanu nie dbają o uczucie ..... — owszem czynami swoimi zacierają oddawna u ludzi zdolność rozróżniania prawa od ...... Lecz w obecnym wypadku dowiódł p. Studt, iż ...... popchnęły go do zarządzeń, zgodnych wprawdzie z duchem i dążeniem najfanatyczniejszych hakatystów, ale wprost niezgodnych z interesem państwa, które nie powinno nigdy posuwać się do drażnienia najdroższych uczuć społeczeństwa.

„Powrócimy jeszcze do tego rozporządzenia ministeryalnego, skoro znaną będzie jego autentyczna osnowa. Dziś pragnęlibyśmy tylko stwierdzić żal i boleść, jaką obudzi ono nietylko w Poznaniu, ale w całem społeczeństwie polskiem. Groźne czasy i wprost mordercze usiłowania przeciw narodowości naszej nieraz przetrwaliśmy i szczęśliwie odpieraliśmy, a właśnie społeczeństwo wielkopolskie złożyło niejednokrotnie świetne dowody, że posiada dość siły odpornej dla obrony i zasłonięcia narodowości polskiej przed zniszczeniem i zagładą. Z dumą i pociechą stwierdzić można, iż prześladowanie i ściganie wśród niego wszelkiej wolności aż do wolności sumienia, zahartowało jego ducha“.

Inne gazety galicyjskie, jak również gazety w Królestwie, wyrażają najżywsze oburzenie z powodu rozporządzenia, jak niemniej wielką pogardę dla wstrętnego systemu germanizacyjnego. Wszystkie one wyrażają przeświadczenie, że społeczeństwo polskie potrafi zamach na narodowość zwycięzko odeprzeć.

Cieszy nas niewymownie, że z wyjątkiem bardzo odosobnionych płaczliwych jęków, w prasie polskiej pod zaborem pruskim ukazały się same tylko męzkie, tchnące dążeniem do walki i wiarą

w dobrą sprawę artykuły, odpowiadające w zupełności stanowisku, jakie zajęliśmy w tej sprawie w poprzednim numerze.

„Dziennik Kujawski“ pisze:

„Nowe rozporządzenie ministra oświaty odbiera więc połowie gmin naszych małe ustępstwo, jakiem je „uszczęśliwił“ czasu swego minister Bosse, odbiera im naukę religii w polskim języku na wyższych stopniach oraz fakultatywną naukę języka polskiego. Tak tedy — co nam dały rządy Cesarza*) Wilhelma II — to dziś znów nam odbierają. Strata — co prawda — nie jest wielka. Po pierwsze „ustępstwo“ owo ograniczało się wyłącznie do Księstwa Poznańskiego, i to jeszcze nie do gmin wszystkich. Nie korzystały zaś z niego wcale dwie inne prowincye polskie, Prusy Zachodnie i Ślązk. Dalej, i u nas korzystanie z tego „ustępstwa“ połączone było z tylu trudnościami, iż nawet, gdzie wolno było z niego korzystać, — znaczna część rodzin z rozmaitych przyczyn z pod „dobrodziejstwa“ tego była wyjętą.

„Tak tedy, gdy dziś i te ostatnie strzępy nauki języka polskiego nam zabrano, nie mamy powodu rozpaczać. Dowiedzieliśmy się w każdym razie ponownie, jaki duch wieje w sferach rządowych względem społeczeństwa polskiego, a to także ma swoją dobrą stronę. Po za tem może i lepiej, że społeczeństwo nasze przestanie się łudzić, co więcej, przestanie się spuszczać na „łaskę“ i „opiekę“ władz szkolnych, że pozna znów jasno i dobitnie, iż cały ratunek narodowości naszej spoczywa wyłącznie w samopomocy.“

W również stanowczy sposób odzywa się **„Goniec Wielkopolski“** w artykule p. t. Niepotrzebne lamenty:

„Zapytujemy, na co się zdadzą społeczeństwu, szukającemu dróg i sposobów ocalenia, jeremiady, że się krzywda dzieje?

„O tem przecież wszyscy dobrze wiemy i wiedzą też nasi „bliźni“ niemieckiej narodowości i antypolskiego wyznania. Że reskrypt każdy nas truje i oburza, że zaszczepia w sfery pokrzywdzone głęboką nienawiść, że się wyradza wśród polskiego żywiołu uczucie bezgranicznej dla niemieckiej sprawy nieżyczliwości, są to naturalne wyniki moralnego upośledzenia naszej narodowości.

„Takie usposobienie zaś ogarniające coraz szersze sfery naszego narodu we wszystkich trzech zaborach, jest raczej szkodą dla Niemców niż dla nas. Wszakże Niemcy sami dalej patrzący w przyszłość, powiadają, że wrogie usposobienie polskiego narodu może w dalszej przyszłości, wśród zawikłań nieprzewidzianych i nieobliczanych na razie, źle się odbić na sprawie niemieckiej.

„Niemcy sami widzą też, iż w Królestwie Polskiem i w Galicyi zawziętość do Niemców, a osobliwie do Prusaków wzmaga się i wzmaga.

„Reskrypt ostatni, którego treść zamieściliśmy, oczywiście do zmiany usposobienia Polaków się nie przyczyni.

„Nie widzimy w nim też powodu do specyalnych żalów i rozpaczy. Pozabierano nam o wiele więcej — a istniejemy!

„Nie sądzimy też, aby nowe rozporządzenie, wypierające prawie że resztki języka polskiego z szkół miał decydować tak dalece o naszym bycie, iżbyśmy w żalach beznadziejnych po desperacku rozpływać się mieli. Nie, rozporządzenie powinno być raczej nowym bodźcem do obrony języka i religii w domach, obrony tym wyraźniejszej, żywszej i intenzywniejszej im mniej po za domem polityka pruska pozostawia nam ułud. Nie podobno przypuścić, ażeby rodzice polscy, którzy dotąd wśród najrozmaitszych przeciwieństw spełniali obowiązki względem Ojczyzny tym sumienniej, im więcej narodowość była zagrożoną, mieli oddać się biernej desperacyi, a nie zabrać się do obrony ze zdwojoną energią.

„Matki i ojcowie polscy chyba i teraz nie znikczemnieją, nie spodlą się zaniedbaniem swych narodowych powinności. Wiedzą przecież, że tak samo jak cnota córek i uczciwość synów powinna być zachowaną, tak też mowa ojczysta i narodowość, bo i ona, nakazana przez Boga. Żaden Prusak nie dał nam polskiej mowy, żaden Prusak też nie zdoła jej odebrać.“

Wobec tego nowego dowodu „opieki“ rządu nad dobrem jego polskich obywateli pozostaje nam tylko coprędzej pomyśleć o *nowej organizacyi politycznej*; potrzeba nam pomyśleć o tem, aby elementarz polski dotarł do każdej chaty, choćby najuboższej, dalej, aby w każdej rodzinie rozumiano ważność nauki domowej języka ojczystego. *Potrzeba też zwołania nowych wieców!*

Samopomoc – oto nasze hasło i nasze zbawienie.

Wobec bezwzględnego usunięcia polskiego języka powtarzamy znowu i oddajemy pod rozwagę sfer miarodajnych, że minęły już te czasy, kiedyśmy mogli zapewniać o naszej lojalności i wierności wobec Prusaków. Każde takie rozporządzenie — to szczerba w naszej lojalności, a że rozporządzeń takich już było dużo, więc z naszej lojalności zrobiła się niechęć.

Ponownie więc i bardzo stanowczo prosimy posłów naszych, aby w swych przemówieniach nie deklarowali w imieniu polskiego społeczeństwa, że chcemy być wiernymi i lojalnymi poddanymi, bo każde takie ich odezwanie boli nas i społeczeństwo je odczuwa jako wstyd.

Warto też przytoczyć tutaj, co o polityce „w rękawiczkach“ wobec Niemców pisze **„Kuryer Warszawski“**:

„Lękam się tylko, że „Koło polskie“ starym zwyczajem na samą myśl o interpelacyi dostanie febry ze strachu, bo tam przecież za najwyższy szczyt rezonu politycznego uważają zawsze dyplomacyę bez krzyża pacierzowego. Bezzębni posłowie kąsać nie umieją i na każde „Sic volo“ niemieckie odpowiadać lubią zdjęciem kapelusza.

„O! przedstawiciele sejmowi Galicyi i Poznańskiego są zawsze kawalerami Wersalu, a każdy objaw opozycyi uważają za krzyk barbarzyństwa. Klasycznym przykładem tej anemii parlamentarnej są występy posłów polskich w Berlinie, których mowy są tak wysłodzone dyplomatycznie, że ich opozycya nie wywiera najmniejszego wrażenia.

„Gdy pruski minister oświaty ogłosił w Izbie swe słynne odkrycie, że narodowość polska nie istnieje i że on w Prusach zna tylko narodowość pruską, wtedy nie znalazł się nikt, ktoby w trzech słowach nazwał rzecz po imieniu. Wygłoszono długie mowy, tłómaczono naukowo, że opinia p. ministra nie wytrzymuje krytyki, ale w całej tej opozycyi nie było krwi, była tylko limoniada. Jeden energiczny wyraz, który musiałby wprawić w ruch dzwonek prezydenta, jeden okrzyk zjadliwego sarkazmu, wywarłby stokroć silniejsze wrażenie od nudnej dialektyki tych szesnastu grzecznych panów, którym społeczeństwo poznańskie powierzyło obronę swych interesów. Skandal! — ten wyraz przeraża dyplomatów Koła polskiego, choć nie przeraża on ani Czechów, ani Niemców, ani Włochów, ani Francuzów. Nie łudzę się nadzieją, aby taka opozycya mogła złamać zasadę polityki pruskiej, ale czyż łamie ją ta opozycya bez kości, którą dzisiaj posłowie poznańscy uprawiają. A dawna metoda Kantaków i Niegolewskich miała przynajmniej ten skutek, że echo ich występów brzmiało w całej prasie europejskiej i elektryzowało wyborców polskich. Teraz Koło polskie do pojedynku sejmowego staje zawsze we fraku, w rękawiczkach i w lakierkach, a szpadą kawalerską tak rusza, jakby to był turniej teatralny, nie walka o śmierć i życie. Stałych metod bojowych nie ma w polityce. Był może czas, w którym zdawać się mogło, że dla dyplomacyi otwierają się wrota w Poznańskiem, ale bodaj Koło polskie wreszcie zrozumieć chciało, że dziś nie ma tam miejsca dla dyplomatów, a posłom pozostała jedyna rola rębaczów.“ *B. M.*

Z pamiętnych chwil.

XVI.

Widząc, że zapomocą regularnego wojska nie sposób będzie podołać niezorganizowanemu powstaniu ludowemu, władza wojskowa dała wojsku i ludności niemieckiej „carte blanche“ na dowolne rozprawianie się z powstańcami. Już nie wojsko z wojskiem rozprawiać się zaczęło, ale oddziały partyzantów polskich z oddziałami niemieckich kolonistów, uzbrojonych przez landratów a podbudzanych przez żołnierzy.

Niebywałych okrucieństw dopuszczały się bandy niemieckie, sformowane przez niejakiego Lüttichau, Prusaka przybyłego z Kongresówki, który rozpuścił oddziały swych partyzantów po całem Księstwie, aby idąc jak tatarskimi zagonami, rabowały opuszczone domy i znęcały się nad ludem wiejskim.

W wielu miejscach szkody nieocenione przez rabunek poniesiono. Złupienie pałacu w Rogalinie i zniszczenie zbioru książek, rękopisów i obrazów, które się tam znajdowały, są trudną do wynagrodzenia dla Polski stratą. Żołnierze otwarcie zabierali to, co im dogodne i posełali potem zdobycz do swoich domów;

*) Duże *C* w oryginale (przy słowie Cesarz).

o tem w księgach pocztowych sąd pozostał.

Naczelnicy wojskowi, wyjąwszy w jednym razie, w przypadku napaści na księdza Tyca, nic głośno o nadużyciach nie wyrzekli, i tylko ze strony władzy cywilnej wyszło obwieszczenie. Warto przytoczyć koniec tego dokumentu:

„Doświadczenie kilkakrotne mówi Beurman, okazało, że Niemcy i żydzi żołnierzy na kwaterach przesadzonemi wieściami o okrucieństwach do nadużyć poduszczają; jakkolwiek komenderujący jenerał wydał do wojska ostrzeżenia w tej mierze, polecamy jednak Urzędowi Ziemiańskiemu, żeby przez władze miejscowe podobnym na przyszłość drażnieniom zapobiegać się starał."

Jednym z pierwszych czynów, do których poprowadzili Lüttichau i Tresckow z Grocholina swe bandy, złożone w połowie z kolonistów, w połowie zaś z żołnierzy, było danie sobie odwetu za Kcynią. Przechodząc w nocy z 13go na 14go maja przez wieś Rybowo, wykonali napad na dwór. Napastnicy spotkali żonę właściciela wsi, panią Ulatowską, która ich zapytała gdzie mają rozkaz władzy na przetrząsanie dworu. Na to dowodzący oddziałem inżynier Kramer ze Stonaw dobył pistoletu, przyłożył go jej do piersi i zawołał: *Hier ist der Auftrag!* (oto rozkaz). Wreszcie Ulatowski dobrowolnie oddał się im do dyspozycyi, chcąc uchronić żonę i domowników od barbarzyństwa napadających. Nic to jednak nie pomogło. Banda rozbiegła się po wsi, z domów wywłóczyła ludzi na ulicę i wśród dzikich wrzasków tłukła ich kijami.

Wieść o napaściach tej bandy szeroko się rozniosła i powodowała, że nieraz przed przybyciem ich do jakiej wsi, mieszkańcy kryli się w lasach. Wtedy zemstę swą wywierała ta dzicz na Bogu ducha winnych przechodniach, często i żebrakach, których tłukąc kijami, apostrofowali ironicznie: *Hier habt ihr euer Vaterland!* (Oto macie waszą Ojczyznę!)

W pobliżu Margonina banda ta napadła Ksawerego Karłowskiego, który jechał z chorem dzieckiem do lekarza. Ściągnąwszy go z bryczki, napastnicy zaczęli go okładać kijami, aż omdlał. Na ratunek przybył kupiec Kohn i Seelig (żydzi), komisarz obwodowy z Margonina i niemiecki pastor. Komisarza i żydów jednak potłuczono, a pastor ledwie na klęczkach od kijów się wyprosił. Kohn kazał piastunce z dzieckiem ukryć się w swym sklepie, przewidując, że i na dziecku będą się chcieli mścić może. Przypadkowo przejeżdżał podówczas tamtędy landrat z Wyrzysk i omdlałego, krwią zlanego Karłowskiego na swej bryczce uwiózł z pośrodka rozjuszonego tłumu.

Dostawszy się wreszcie do Kcyni, zgraja ta rozbójnicza na swój sposób zaczęła mieszkańcom wymierzać sprawiedliwość. Masami bito na rynku chłopów i mieszczan kijami, a każdemu obitemu po egzekucyi kazano kij całować.

Główną kwaterą tej bandy, z kilku set ludzi złożonej był majątek Tresckowa Grocholin. Stajerowicza, burmistrza w Kcyni i deputowanego na sejm berliński, zbito batami i odwieziono w pętach do Bydgoszczy „za to, że głosował za nieprzyłączaniem Księztwa do Rzeszy niemieckiej." Władze wojskowe wszakże zażalenia zbywały nic nie znaczącemi wymówkami, których treść zawrzeć można w słowach: „a la guerre comme a la guerre."

Ma się rozumieć, co w wielkich rozmiarach robiły bandy Lüttichau'a i Tresckowa doprowadziwszy do swego rodzaju doskonałości znęcanie się nad ludnością polską — to w mniejszych rozmiarach robiło wojsko regularne. Przechodzące z Poznania do Obornik oddziały przez wieś Chludowo w niesłychany sposób pastwiły się nad ludnością. Podczas gdy konnica otoczyła wieś, piechota wkroczyła i do uciekających chłopów strzelać zaczęła. Jednego, który kijem się bronił kilkunastu żołnierzom, na miejscu zakłuto bagnetami, drugiego, który szukając schronienia między drwa porąbane się schronił, zastrzelono w jego kryjówce, trzech śmiertelnie poraniono, tak że wszyscy w parę dni później pomarli. To samo powtórzyło się w Objezierzu.

W Żninie kazał jenerał Hirschfeld przyprowadzić na rynek trzech obywateli, których miał w podejrzeniu i rozkazał jednemu odliczyć 50 batów, drugiemu 25 batów. Działo się to w obecności landrata z Szubina. Jednym z bitych był nauczyciel Jaskólski, drugim stolarz Rogaliński. Gdy obaj żądali jakiegoś sądu i świadków, rzekł Hirschfeld do otaczających go żołnierzy te historyczne słowa: „*Die Zeugen werden später vernommen werden — jetzt schlägt langsam und stark.*" (Świadków przesłuchamy później — teraz bijcie powoli i silnie).

Za przykładem Hirschfelda poszedł burmistrz żniński Leiner i za lada okazyą kazał dawać baty Polakom. Gdy mu zwrócono uwagę, że prawem królewskiem kary cielesne zostały zniesione, on odrzekł, że prawo królewskie dotyczy ludzi, a Polacy nie są ludzie „*sondern Thiere.*"

Przytoczone powyżej przykłady nie są odosobnione. W maju i czerwcu w poznańskiej „Gazecie polskiej" znajdowały się na każdej niemal stronie opisy podobnych gwałtów, stwierdzone podpisami świadków.

Działy się też rzeczy, które nie „karnemu" wojsku pruskiemu, ale dzikim hordom Hunnów śmiało przypisaćby można. We wsi Stępuchowie, w powiecie Wągrowieckim (własności Moszczeńskich) gwałcono kobiety. Dziewczynę szesnastoletnią i niewinną Maryannę Jagodzińską złapali żołnierze, podczas gdy ich towarzysze pod komendą oficera rewidowali dwór, i siedmiu ją zgwałciło, podczas gdy czterech trzymało. Oficer, wyszedłszy z dworu, znalazł ją krwią zlaną, nieprzytomną i odpędził od niej żołnierzy. Zbrodniarzy nie ukarano.

* * *

Podczas gdy wojsko pruskie w ten sposób „porządkowało prowincyą" Pfuel obwieścił ludności niemieckiej, że miasto Poznań nieodwołalnie wcielone zostanie do Prus. Dnia 12 maja odbył się z tego powodu uroczysty obchód, w którym udział wzięły władze cywilne i wojskowe. Orszak złożony z dostojników niemieckich, eskortowany przez wojsko z muzyką i przez tłumy ludności niemieckiej, przeciągał po ulicach miasta. Wieczorem odbyła się iluminacya. Nieuiluminowane szyby w domach polskich pospólstwo niemieckie wybijało wśród zwycięzkich okrzyków.

Tymczasem więzienia pruskie zapełniały się coraz bardziej. Ze wszystkich stron zwożono do Poznania, Bydgoszczy i Gniezna podejrzanych lub z bronią w ręku schwytanych. Nie uszedł więzienia Krotowski i Mierosławski, nie uszli go inni. Najgorsze wilgotne i ciemne lochy zostały zaludnione więźniami, tak przepełnione były więzienia. Mniej winnych, zwłaszcza chłopów, bito kijami i wypuszczano, gdyż brakło miejsca, a transport nie był zupełnie bezpieczny ze względu na możliwość odbicia jeńców przez kryjące się po lasach oddziały polskie. W tym celu kazał Pfuel każdego, kto zostanie z więzienia wypuszczony, znaczyć na lewem uchu i lewem ręku rozczynem piekielnego kamienia, aby przez kilka tygodni pozostały wypalone czarne znaki; po nich miano rozpoznawać, czy wypuszczeni na nowo nie łączą się przeciw Prusakom. Wskutek tego wypalania piekielnym kamieniem tworzyły się straszne rany i opuchlizny, które wobec braku opieki lekarskiej przechodziły w gangrenę i spowodowały śmierć piętnowanych w ten sposób.

W Gnieźnie więźniów tak katowano w więzieniu, że na ulicach rozlegały się jęki i ludność się gromadziła wkoło murów więziennych, po za którymi straszne dziać się musiały rzeczy. Sołtysowi z Przyborowa dano np. 100 batów w dwóch

po sobie następujących dniach i nawpół żywego oddano w ręce felczera na mieście. Na odchodnem dostał 10 złp. z zakazem, aby o biciu nie rozpowiadał, gdyż w przeciwnym razie drugie tyle chłost dostanie.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Nasze tryumfy za granicą.

Sienkiewicz i Orzeszkowa za oceanem.

Pierwsze angielskie przekłady Sienkiewicza nie doznały zbyt gorącego za oceanem przyjęcia. Krytyka wprawdzie nie ganiła, ale też dość obojętnie notowała pojawianie się ich na targu księgarskim. Mimo to wydawca nie musiał na nich tracić, skoro od 10 lat rok rocznie nowe wypuszczał tomy, nielicząc jednak na zbyt masowy, gdyż stosunkowo ceny były wysokie. Takie np. „With fire and sword“ (Ogniem i mieczem) kosztowało 3 dolary. To też imię Sienkiewicza nietylko że do niedawna jeszcze nie było tam popularnem ale prawie nieznanem. Nawet w kołach literackich mało kto o nim wiedział.

Dotykalnie na sobie przekonałem się o tej obojętności, już nietylko względem samego autora trylogii, ale wogóle dla naszej literatury. Posiadając bowiem wyborne przekłady kilku mniejszych jego powieści i Ezofowicza Orzeszkowej, dokonane przez siostrę moją Izabelę Young, napróżno od 8 lat częstowałem niemi różnych wydawców — żaden ich nie chciał, mimo że jej przekład „Without dogma“ bodaj że najlepiej został przez krytykę przyjęty. Prasa bez wyjątku, podnosząc zalety przekładu, bardzo samą powieść chwaliła — ale dalekiem to jeszcze było od zapału.

Przyczyn takiej do przełamania trudnej obojętności, zdaje się przedewszystkiem szukać należy w niełatwych do wymówienia polskich nazwiskach, jak niemniej i w tem, że przedmiot to wogóle dla Amerykanina obcy, szczególniej gdy chodzi o mało mu znaną historyę naszą.

Dopiero „Quo vadis,“ — choć nie odznacza się wyższą wartością a nawet tak pod względem swej budowy jako też prawdy historycznej, niżej od trylogii stoi — od razu wysunęło autora na front. Zaraz po ukazaniu się tej powieści, cała prasa zgodnym chórem pasowała go na nieśmiertelnego, bez wahania nazywając wprost największym z żyjących pisarzy; a najwybitniejsze dzienniki na wyścigi dobijały się o jego przekłady, bez względu na koszt. N. Y. Journal, Herald, World, ścigają się teraz. Dla pierwszego na gwałt musiałem tłumaczyć „Pójdźmy za Nim“, które wyszło w ozdobnej gwiazdkowej edycyi, a jeden z najpoczytniejszych miesięczników, (Ainsleés magazine), zamieścił również w moim przekładzie „Bądź błogosławiona.“ Zaczęło się formalne polowanie na polskich tłumaczów, a w ich braku, tłumaczono z niemieckiego; tak jak znów Curtin, — ten, który pierwszy zapoznał Amerykanów z Sienkiewiczem — tłumaczył z rosyjskiego, i to przy pomocy dykcyonarza, bo w czasie krótkiego pobytu w Petersburgu, nie mógł zupełnie tego języka sobie przyswoić.

A że nie z oryginału przekładał, o tem miałem sposobność przekonać się, poznawszy go osobiście zanim jeszcze cokolwiek wydał. Zresztą to dla każdego zbyt widoczne. W „Ogniem i mieczem“ np. takie wyrazy jak „koszowy“, których w słowniku nie znalazł, pozostawił jak w przekładzie rosyjskim „kaszawoj.“

Bądź co bądź nie bez słuszności przechwala się teraz po dziennikach, że gdyby nie on, niktby za oceanem o Sienkiewiczu ani wiedział; gdyż tylko dzięki tej okoliczności, że z szefem bostońskiej firmy Little, Brown i Sp., tłumacz siedział w szkole na jednej ławie, nie było kłopotu z wynalezieniem nakładcy. W każdym razie należy podziwiać jego cierpliwość i żelazną, godną naśladowania wytrwałość. Mimo bowiem trudności i mozolnej pracy, niezrażony słabem powodzeniem, wciąż od czasu do czasu nowe w świat puszczał tomy.

A ta wytrwałość w końcu sowicie się i tłumaczowi i nakładcy nagrodziła. Pierwszy bowiem, zwyczajem w Ameryce przyjętym, otrzymywał za swą pracę t. zwane „royalty“ czyli pewien procent od każdej sprzedanej książki; co musiało mu przynieść pokaźną sumkę, zwłaszcza, że z chwilą pojawienia się „Quo vadis“, znacznie się też ożywiła sprzedaż poprzednio wydanych już utworów. Co do wydawcy zaś, to kompetentni twierdzą, iż w przeciągu pół roku, zarobił na czysto z górą 100 tysięcy dolarów. Suma to olbrzymia, jeżeli zważymy, że Little, Brown sprzedawali „Quo vadis“ po 1.25, 0.75 i po 0.20 centów i że zaraz pojawiła się w Filadelfii konkurencyjna edycya Altemusa.

Trzeba bowiem wiedzieć, że tak zwane prawo „copy right'u“ wcale nie ochrania przywileju własności obcych autorów, z wyjątkiem angielskich, i to pod pewnemi tylko warunkami. Z Rosyą żadna konwencya nie istnieje, Sienkiewicz więc bezkarnie może być rabowany, i wyłącznie musi na dyskrecyi wydawcy polegać. Copyright jednak w tym wypadku zapewnia prawo wyłączności przekładu; byle więc na nowo ktoś przetłumaczył, może wydać, bez względu na inne istniejące już edycye.

Mimo to wszystko i mimo ceny tak nizkiej — złoty to był interes. O rozpowszechnieniu „Quo vadis“ można choćby ztąd nabrać pojęcia, że na okręcie, wśród 200 kajutowych pasażerów, zdołałem naliczyć przeszło 20 egzemplarzy. A do tak niezmiernej popularności, bardzo się przyczynili księża różnych wyznań. „Quo vadis“ było po niezliczone razy na kazalnicy rozbierane i zalecane jako książka godna czytania przez prawdziwych chrześcian. Nie dziw przeto, że jeden przez drugiego kupował, czytał i z urzędu chwalił, z kolei zachęcając do czytania innych. Na gwałt uczono się wymawiać nazwisko autora, wyłamując sobie język tak, że niejednemu aż oczy na wierzch wychodziły. Powszechnie wymawiano Si-eun-ki-e-u-ic — z akcentem na eun. Nie jednemu musiałem kilkakrotnie wymawiać, a ten po sto razy powtarzał, kontent, że tą swoją uczonością innym zaimponuje. Nadto i tytuł niezrozumiały zaciekawiał — wszyscy dopytywali co znaczy.

Jednem słowem, śmiało rzec można, „Quo vadis“ otworzyło tam nową erę dla literatury naszej, bo teraz i innych autorów już chętnie wydają.

Ja sam, nietylko że łatwo zbyłem odrzucane poprzednio rękopismy utworów Sienkiewicza, ale także i Meir Orzeszkowej doczekał się swej kolei. Wydany w ozdobnej edycyi z 26 illustracyami Andriolego i portretem autorki, znalazł nader przychylne przyjęcie. Wszystkie dzienniki odezwały się bardzo pochlebnie, przyczem panowie krytycy, korzystając ze sposobności, popisywali się ze swą głęboką znajomością naszej literatury, podług, ma się rozumieć, pierwszej lepszej encyklopedyi.

Aby dać miarę ich zdania o naszej autorce, przytoczę tu w dosłownym przekładzie krytykę zamieszczoną we wzmiankowanym już „Ainslee's magazine“, który tak mówi:

„Nie łatwe to zadanie napisać powieść tendencyjną, a często nie łatwo i przeczytać taki utwór. Ale „Meir Ezofowicz“, to świetny temat; autorka zaś potęgą swego talentu, trzyma uwagę czytelnika przykutą od pierwszej do ostatniej strony. Rzadko można spotkać powieść, którąby się z równem zajęciem czytało.“

Tu opowiedziawszy treść książki, krytyk tak dalej mówi: „Wiele ustępów zdumiewa nadzwyczajnem wykończeniem i zdrową filozofią. Jest przytem wiele uczucia i znać wielką pisarską wprawę. Dla nas to przedmiot zupełnie nowy. Gdyby nie to, że autorka tak wiernie opisuje, trudnoby, doprawdy, uwierzyć, że mogą istnieć tacy ludzie i takie sto-

sunki. Gdy świątobliwy kupiec klęka przed swą żoną, i wznosząc ręce, dziękuje Bogu, że nie stworzył go kobietą, i gdy ta żona również go wielbi za to, że ona jest czem jest, — mimowoli tracimy szacunek dla tych, którzy takie modlitwy zalecają. Szacunek dziecka dla rodziców i namiętna miłość rodziców do dzieci, miłe robią na czytelniku wrażenie; ale za to wstręt budzą obrazy życia tych ludzi miasteczka, gdzie pomimo całej ich religijności, taki brak uczuć ludzkich.

„Powieść stanowi piękną i harmonijną całość. Przeczytawszy ją, pozostaje jedno tylko życzenie: aby zaraz odczytać powtórnie.“

Zdaje się, że nasza znakomita autorka nie ma powodu żalić się na przyjęcie, jakiego jej praca doznała za oceanem, zwłaszcza że wszystkie recenzye z niemniejszem uznaniem o Meirze mówiły.

Oprócz zadowolenia miłości własnej autorów, jest ztąd i ogólniejszy zysk, bo te debiuty Sienkiewicza i Orzeszkowej, w wysokim stopniu rozbudziły interes dla całej naszej literatury. Dziś wydawcy wspomnieć o manuskrypcie tłumaczenia z polskiego, aż mu się oczy śmieją i gotów bez czytania natychmiast drukować, bo się publiczność już przyzwyczaiła sądzić, że wszystko co polskie musi być dobre, jak muzyka Paderewskich, śpiew Reszków, lub dramatyczne kreacye Modrzejowskiej. *Z. St.*

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Poznańscy.

(Ciąg dalszy.)



79. TYMOTEUSZ GORZEŃSKI.

Po rezygnacyi Raczyńskiego, administrował archidyecezyą gnieźnieńską z upoważnienia Papieża ks. Marcin Siemieński, Biskup Cyreneński aż do r. 1821. W tymże roku na mocy bulli papieskiej tak zwanej „bulli circumscriptionis“ z 7 sierpnia, dyecezya poznańska wyniesiona do godności archidyecezyi, zjednoczoną została z archidyecezyą gnieźnieńską i pierwszym Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim był Tymoteusz Gorzeński.

Z starożytności rodu Ostrorogów, urodzony 24 stycznia r. 1743 z Franciszka herbu Nałęcz, pułkownika wojsk koronnych i Anny Deręgowskiej. W r. 1764 został kanonikiem poznańskim, 1781 referendarzem koronnym, 1790 Biskupem smoleńskim, w r. 1808 administratorem dyecezyi poznańskiej, a wkrótce potem Biskupem poznańskim. Dnia 17 września 1821 zawiadomionym został przez Biskupa warmińskiego, księcia Józefa Hohenzollerna, że Papież w porozumieniu z królem pruskim mianował go pierwszym Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim. W tymże roku odbył ingres do Gniezna. Umarł nagle w Poznaniu 20 grudnia 1825, pochowany w poznańskiej katedrze.

Za pierwszych lat panowania Stanisława Augusta pojechał do Rzymu i był tam przez pewien czas rektorem domu polskiego św. Stanisława. Żył lat 84, a Biskupem był 35, w Smoleńsku przepędził 20 lat, w Poznaniu 15 i 4 lata jako Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański.



80. TEOFIL WOLICKI,

syn Ignacego z Komorza, herbu Nabram i Józafaty Wiesołowskiej, urodził się w Godziętowach w powiecie ostrzeszowskim w roku 1767. Proboszcz średzki, w r. 1794 kanonik poznański, proboszcz w Dusznikach, w r. 1825 administrator archidyecezyi poznańskiej, w dniu 6 maja 1828 wybrany na Arcybiskupa, zatwierdzonym został przez Apostolską Stolicę na dniu 15 grudnia tegoż roku. Umarł w Poznaniu 21 grudnia r. 1829 i tam pochowany.



81. MARCIN DUNIN,

urodzony we wsi dziedzicznej Wał (Wałowice) pod Rawą na Mazowszu 11 listopada 1774 r. z Felicyana herbu Łabędź i Brygidy Szczakowskiej. Kanonik wiślicki i kujawski, w r. 1807 kanonik gnieźnieński i jeneralny audytor Arcybiskupa Raczyńskiego, w roku 1810 proboszcz kcyński, r. 1815 kanclerz gnieźnieński, w r. 1829 administrator dyecezyi poznańskiej, został Arcybiskupem r. 1830. Umarł w Poznaniu 26 grudnia 1842 roku, pochowany w tamecznej katedrze.

Za surowe polecenie duchowieństwu trzymania się w sprawie małżeństw mięszanych przepisów breve Piusa VIII do Biskupów nadreńskich, został aresztowanym równocześnie z Arcybiskupem kolońskim i osadzonym w fortecy w Kołobrzegu. Wolność odzyskał dopiero po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV dnia 7 czerwca 1840 r. Pamięć swoją utrwalił znaną książką do nabożeństwa, której opracowanie polecił ks. kanonikowi Dąbrowskiemu. W dniu 14 października r. 1841 wydał okólnik do duchowieństwa, wzywając je do popierania Towarzystwa Pomocy Naukowej.

W dniu 5 września r. 1841 wyświęcił Biskupa-sufragana Brodziszewskiego, ku wielkiej swej radości, bo go cenił wysoko. Umarł mając lat 68; Biskupem był lat 12. Zyciorys jego napisał po niemiecku ks. Franciszek Pohl, profesor seminaryum duchownego w Poznaniu. Dziełko to o 100 stronnicach wyszło w r. 1843 w Malborgu.



82. LEON PRZYŁUSKI,

herbu Lubicz, syn Stanisława i Agnieszki, urodził się 5 października 1789 r. w Strzeszynie pod Poznaniem. W r. 1813 kanonik poznański, 1816 pleban w Tarnowie, 1823 proboszcz śremski i audytor jeneralny Arcybiskupa Gorzeńskiego, w r. 1842 administrator archidyecezyi gnieźnieńskiej, wybrany przez obie kapituły 21 października r. 1844 na Arcybiskupa potwierdzonym został przez Apostolską Stolicę w styczniu r. 1845. Umarł w Poznaniu 13 marca r. 1865 i tam pochowany. Umarł mając lat 75; Arcybiskupem był lat 21.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do polskiej dzieweczki.

Dzieweczko polska! Ukochaj szczerze,
Prababek twoich święte pacierze;
Czcij pamięć ojców, — bo ojce twoi,
Dzielni rycerze w skrzydlatej zbroi,
To męczennicy ojczystej sprawy,
Lub bohaterzy z szańców Warszawy.

A potem kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu, dziewczę liliowe;
Bo pod ich nizką strzechą przed laty,
Król, ojciec chłopków, pochylał głowę.

Kochaj wrzeciono, bo przy wrzecionie,
Siedziała nieraz pani w koronie,
I lnu pasemka składała w motki,
By nimi okryć biedne sierotki.

A nadewszystko miłością czystą,
Kochaj, ach kochaj, ziemię ojczystą,
I gdy nadejdzie godzina czarna
Dla niej, jak gołąb stań się ofiarna.

Dziś jeszcze małe dziewczątko z ciebie,
Co tylko lalki swoje kolebie;
Lecz gdy na wielkich łask swych zadatki,
Bóg da ci nosić nazwisko matki:
Wtedy miast cacek, niech twój maleńki,
Ojcowską szablę weźmie do ręki;
Rycerską zbroję włóż mu pod głowę,
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe,
Niech już w kołysce marzy zuchwale,
O dawnej sławie, o przyszłej chwale!

Władysław Bełza.

Miłość Ojczyzny.

Napisał
Franciszek Mąkowski.

(Ciąg dalszy.)

Konstytucya 3go maja, to najwspanialszy posąg, jaki sobie Polska wystawiła, posąg, który przeżyje wieki, przetrwa kamienie i spiże!

Chociaż konstytucyi naszej rozwinąć się nie dozwolono i pod obce przeszliśmy panowanie, to i potem rozumna brać starsza w lat kilka przed pojawieniem się prawa o regulacyi stosunków włościańskich starała się o regulacyę tej sprawy; mianowicie kilku oświeceńszych obywateli, a na ich czele Pantaleon Szuman i Plichta, przesłali do rządu pruskiego wniosek o uwłaszczenie chłopów.

Dziś obce mamy prawo, a chociaż kochać go nie możemy, oglądać się na nie trzeba, boć Chrystus wyrzekł:

„Oddajcie cesarzowi, co jest cesarskiego,
a Bogu, co jest Bozkiego.“

I my dziś obcemu służyć zniewoleni panu, oddajemy cesarzowi, co cesarskiego; tracimy synów naszych na wojnach za wielkość niemieckiej ojczyzny. Iluż to poszło do Danii, Austryi, Francyi itd., a iluż powróciło cało?

Jeźli miłujemy Ojczyznę naszą, to musimy mieć odwagę bronić praw nam służących, musimy zawsze i wszędzie ich się dopominać.

Inaczej słowa nasze i okrzyki na cześć Polski, to bolesne a wstrętne mamienia własnego sumienia. To blichtr marny, z którego się nieprzyjaciele nasi natrząsają. Wbrew odrębnym naszym traktatom, wbrew woli i protestom naszym, poddano prawa nasze pod strychulec konstytucyi pruskiej. Skoro ponosimy konstytucyjne ciężary, starajmy się wyciągnąć z niej korzyści nie zrzekając się nigdy przenigdy praw traktatami zagwarantowanych.

Dalszą częścią istoty Ojczyzny — to narodowość nasza, czyli wszystkie objawy ducha narodowego polskiego. Każdy naród ma coś odrębnego, od innych narodów go wyróżniającego, a najpierwszym tego objawem są obyczaje i zwyczaje. Jeśli mówimy o miłości Ojczyzny, toć mamy na myśli i narodowość polską, a przez nią nasze obyczaje i zwyczaje. Czy to więc polskie roraty, czy wilija Bożego Narodzenia, czy to szopka staropolska, czy kulig zapustny, czy obrzędy weselne, święcone na Wielkanoc i dyngus, czy urocza Sobótka i wianki świętojańskie, czy to wieniec żniwny, czyli okrężne i wiele innych zwyczajów, wszystko to są rzeczy, które zachować w sercu, a w życiu utrzymać należy.

Chcesz kochać Ojczyznę, to ukochaj nasze starodawne obrzędy, ukochaj nawet taniec narodowy, owego poważnego poloneza, dziarskiego mazura, skocznego krakowiaka, bo i w nich odzwierciadla się narodowość twoja.

Dalszą oznaką narodowości jest i strój nasz dawny.

Nieraz w tęsknocie zawodzi młodzież nasza piosnkę:

„Gdzie się podział ów wiek złoty, owe dawne czasy,
Wtenczas kiedy panowały żupany i pasy.
Spinka złota u koszuli, wąsik zakręcony,
Karabela wedle boku i bucik czerwony?
W takim stroju narodowym każdy Polak chodził,
W takim stroju Jan Sobieski Wiedeń oswobodził.“

Ale niestety, nastały czasy fałszywej cywilizacyi, a chociaż, wedle słów Mickiewicza, „biegano za przebranym niby za rarogiem“, ciasny fraczek zastąpił dawne ubranie i stało się wedle słów znanej piosenki:

„Z kontusza na frak łatwo wystarczyło,
A z fraka kontusz, zje djabła, kto zrobi.“

Za przykładem z góry porzucił i mieszczanin swoją czamarę, od czasów króla Batorego do nas wprowadzoną, a najsmutniej, że i ludek nasz polski dawne swoje malownicze porzuca stroje, odziewając się kusą kurtką.

Dalszą częścią istoty Ojczyzny jest *język* nasz, który prawy Polak całą duszą kochać powinien. Wszakże to w tym języku pierwsze wyrazy matki w dziecięcy twój umysł się wpajały; w tym języku pierwszą do Boga zasyłałeś modlitwę, w tym języku w kościele wznosisz hymny na cześć Jego, w tym języku kapłan ci głosi słowo Boże, w tym języku dziecię twoje poraz pierwszy nazwało cię ojcem, w tym języku w smutku niejedną rzewną, a w radości wesołą zanuciłeś piosenkę i miałbyś sumienie język twój lekceważyć? Miałżebyś ty serce zastępować go obcym, gdy tego niema potrzeby? Niestety! napotyka się czasami ludzi bez serca i sumienia, co w obczyźnie, albo przy wojsku kilka wyrazów cudzoziemskich pochwyciwszy, popisują się niemi niby bezrozumna sroka, co na płocie usiadłszy jednostajnym swym skrzekiem uszy razi.

Dziś język nasz wydalono z urzędu i ze szkoły. Dziś na zagładę naszą i języka naszego wiążą się w „bundy“ Hanse-Kenne-Tiedemany. Wrogie nam ich zabiegi spełzną jednakowoż na niczem i runą szatańskie zamiary ich, byleśmy tylko całą duszą ukochali Ojczyznę i język ojczysty i mężnie i zgodnie walczyli w jego obronie i ochronie. Szanuj język ojców, to prawo Boga, a człowieka obowiązek.

Wykwitem narodowości i języka jest piśmiennictwo polskie.

Pisarze językiem narodu swego wypowiadają myśli i dzieje, jakiemi go Opatrzność w postępie świata wiodła. W piśmiennictwie odbijają się potęgi ducha narodowego i występuje tam na jaw oświata. Oświata Polski niemałe pomiędzy ludami zajmowała stanowisko, a do akademii nauk w Krakowie zjeżdżali za czasów Zygmuntów uczeni świata całego. I dzisiaj, wśród trudnych dla pisarzy naszych okoliczności, piśmiennictwo polskie poszczycić się może utworami nauki i geniusza.

Płody pisarzy naszych przyswajają sobie obce narody, np. dzieła najpotężniejszego naszego wieszcza Adama Mickiewicza na dziesięć przetłumaczono języków.

Byt polityczny jest dalszą istoty Ojczyzny częścią. Polska, własnych mając monarchów, trzynaście przeszło wieków nim się cieszyła, a dziś trzem podlegać musi panom. Ziściły się niestety prorocze słowa X. Piotra Skargi:

„Ziemie i księztwa wielkie, które się z Koroną złączyły i w jedno zrosły ciało, odpadną.... będziecie nietylko bez pana krwi swojej, ale bez Ojczyzny i Królestwa swego!“

Ale i tu, chociaż odpadliśmy — przez zabór — od jednego ciała, byt nasz na odrębnych, Traktatami wiedeńskiemi zawarowanych polega prawach.

Traktaty te każdy Polak poznać powinien i na nich tylko byt swój polityczny pod zaborczemi rządami opierać i wykonywania traktatów tych od rządów tych się dopominać.

Ostatnią częścią istoty Ojczyzny są dzieje narodu naszego.

Kto prawdziwie kocha Ojczyznę, ten znać musi jej przeszłość, znać musi cnoty dziadów, ale też ich wady; — znać musi tak chwile smutku i niedoli, jak tryumfu godziny. Miłością Ojczyzny wskazane nam czyny, wtedy tylko na jej się obrócą korzyść, gdy biorąc przykład z cnót bohaterów naszych, odrzucimy ich wady.

Rozczytując się w dziejach narodu naszego, rozpamiętywając przeszłość, zapałamy miłością bez granic dla Ojczyzny,

a Bóg niechaj da, ażebyśmy wskrzeszając postaci zamarłej przeszłości

„Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jako przodkowie niegdyś całe życie.“

I warto się zapoznać z dziejami naszemi, bo tam ani jedna kartka nie zbrukana samolubstwem, nie skalana zaborem, ani krzywdą sąsiedzką, bo ojcowie nasi woleli żyć na szczupłej karcie dziejów, niżli od morza do morza nieprawością i niewolnictwem władać.

Lud polski rolniczy dobywał oręża jedynie w obronie siedzib własnych, jedynie w potrzebie i dlatego wyraz ten znaczył dawniej tyle co wojna.

(Dokończenie nastąpi.)

O królu Humbercie.

Uczony włoski Giovanni della Vecchia, który oddawna zajmuje się historyą życia i panowania króla Humberta, zamieścił o nim w jednym z ostatnich zeszytów „Good Words“ pouczający artykuł. Z tego barwnego studyum wyjmujemy kilka ustępów.

Król Humbert wstawał bardzo rano. Codzień o godz. 6-ej z rana pracował już przy swem biurku, na godzinę lub dwie przed śniadaniem wyjeżdżał stale na spacer konny bez względu na pogodę. Lubił nawet burzliwe poranki. Nikt nie przypomni sobie, aby spotkał kiedy króla z parasolem.

— Potrafimy rozkazywać tylko wtedy, jeżeli umiemy słuchać — mawiał król nieraz, streszczając zasadę przewodnią domu sabaudzkiego. Humbert, odbywszy tę szkołę, umiał rozkazywać i samemu sobie.

Od najmłodszych lat był Humbert zawziętym palaczem tytuniu. Gdy jednak przed dwunastoma laty lekarz przyboczny oświadczył mu, że cygara przynoszą szkodę jego organizmowi, rzekł krótko i węzłowato: „Odtąd nie wezmę cygara do ust“, i zaprzestał palić, chociaż przedtem zużywał dziennie dwadzieścia z górą mocnych cygar.

Humbert był bardzo umiarkowany w każdem użyciu, mięsa i łakoci prawie nie jadał, był niemal wegetarianinem. Podczas wielkich obiadów dworskich, kiedy najprzedziwniejsze rozlewano wina, stawiano przed nim zawsze osobną butelkę wina szampańskiego. Nikt nie przeczuwał, że była to tylko zwyczajna limonada z lekką domieszką proszku musującego.

Od młodości nienawidził król dworaczego pochlebstwa i serwilizmu. Zaledwie liczył lat 16, gdy z bratem puścił się na objazd główniejszych miast odzyskanego i zjednoczonego królestwa. Przez pewien czas słuchał cierpliwie pompatycznych przemówień rozmaitych burmistrzów; wkrótce jednak było mu tego za wiele, zapytał, czy nie wystarczyłoby czcigodnym „syndykom“ uścisnąć dłoni, uwalniając się od obowiązku słuchania banalnych oracyi.

Natomiast gotów był król zawsze wysłuchać prośby lub skargi każdego rodaka. Wszystkie prośby pisemne, jakie w ciągu dnia podawano do króla, sumiennie co wieczór odczytywał, własnemi oczami i własnem dobrem sercem patrząc w ten odmęt skarg, bolów i nędzy, jaki się w tych listach wyrażał.



† Humbert, król włoski.

We wrześniu 1884 r. bawił król Humbert z piękną królową Małgorzatą w Wenecyi. Postanowił udać się do Pardenone na festyn wojskowy, kiedy dowiedział się, że w Neapolu wzmogła się do tego stopnia cholera, iż ludność i władze potraciły zupełnie głowy. Niezwłocznie zatelegrafował do jenerała dowodzącego w Pardenone, który go zaprosił na uroczystość: „W Pardenone odprawiacie festyn, w Neapolu umiera lud setkami. Jadę do Neapolu“. Pozostawiwszy królową i królewicza, zatelegrafował do brata: „Oczekuj mnie w Rzymie“. Nazajutrz król i książę Amadeusz przybyli do Neapolu — do Gehenny, ziejącej wówczas śmiercią.

Po tysiąc osób marło dziennie nad piękną zatoką, król odwiedzał, jakby wierzył w swą nietykalność, wszystkie zaułki, w których grasował wszechwładnie surowy anioł śmierci.



Helena, królowa włoska.

W d. 22 kwietnia 1868 r. odbyły się zaślubiny 24-letniego wówczas następcy tronu z przedziwnie piękną i wówczas już ukochaną na półwyspie kuzynką, księżniczką Małgorzatą sabaudzko-genueńską. Wówczas to zawiązała się serdeczna przyjaźń pomiędzy Humbertem, a następcą tronu niemieckiego, późniejszym cesarzem Fryderykiem, która przetrwała do ostatniej godziny życia nieszczęśliwego cesarza-męczennika. Po raz ostatni widzieli się na stacyi kolejowej w Sampierdarena. Była to godzina żałobna. Dniem wprzódy zmarł cesarz Wilhelm I, a Fryderyk, stojący już nad grobem, dotknięty nieuleczalną chorobą, spieszył z San Remo do Berlina, aby spełnić swój obowiązek wobec narodu. Spotkanie się dwóch przyjaciół było rozrzewniające. Cesarz Fryderyk utracił już głos, musiał posługiwać się pismem. Humbert rzekł: „Kiedy mój ojciec umarł, pierwszy przyniosłeś mi słowo pociechy; niech moje słowa pocieszą cię tak, jak twoje mnie pocieszyły.“



Małgorzata, włoska królowa wdowa.

Pomiędzy królem Humbertem a królową Małgorzatą ogniwa uczuć serdecznych były zawsze bardzo silne. Przez długi czas królowa słynęła jako pierwsza piękność w Europie, wpływ czasu dziś zaledwo zaczyna ryć swoje piętno niszczycielskie na tem wspaniałem obliczu. Król Humbert był wszakże innego zdania w tej mierze. Niedawno rzekła królowa zatroskana do męża:

— Za stara już jestem, abym nosić mogła białe tualety.

Król Humbert nie zaprzeczył, ale roześmiał się i rzekł:

— Zastanowimy się nad tem po dwóch tygodniach.

Po upływie czternastu dni nadeszła wielka skrzynia, cała wypełniona wspaniałemi sukniami białemi. Skrzynia nosiła adres królowej, a w środku jej znajdowała się kartka z napisem: „Z wyroku króla“.

K. W.



Król włoski, Wiktor Emanuel III.

Zamach na szacha perskiego.

Na szacha perskiego, bawiącego w Paryżu, urządził zamach Włoch Salson

dnia 3-go bm. Krótko przed godziną 10 przed południem skoczył na ulicy Malakowa w chwili, kiedy szach wsiadał do powozu na stopnie tegoż Salson. Komisarz i adjutant szacha przeszkodzili mu i nie zdołał strzelić do szacha. Znaleziono u niego rewolwer i sztylet. Podług innych wiadomości nie mierzył ów Włoch z rewolweru, tylko uderzył na szacha z sztyletem w ręku. Kandydata na mordercę zaraz aresztowano.

„Echo de Paris“ i „Journal“ twierdzą, że napastnik nazywa się nie Salson,



Królowa serbska Draga Maszin.

lecz Hoby, a urodził się w Ajaccio. — Wieczorem znaleziono w parku wersalskim wielką bombę dynamitową. Salson oświadczył w swych zeznaniach przed sędzią śledczym, że skoro tylko wziął na cel szacha, pociągnął za cyngiel, ale rewolwer nie wystrzelił. Według „Figara“ oświadczył Salson, że chciał dlatego zabić szacha, ponieważ jest monarchą wielkiego państwa. Wspólników niema i do anarchistów nie należy. Szach wyraził zadowolenie sędziemu śledczemu, który go odwiedził, że zamach nie był aktem zemsty, lecz czynem fanatyka. *W. K.*

Ślub Aleksandra, króla serbskiego z Dragą Maszin

odbył się dnia 5go bież. mies. w południe wśród wielkiego przepychu w Białogrodzie. Już z rana wylegly na świątecznie przyozdobionych ulicach miasta tłumy ludu, które, wzrastając wciąż przez napływ gości z prowincyi, doszły do 30,000 głów. Na ulicach, któremi postępował orszak weselny, stanęło wojsko szpalerem podwójnym. Król zajechał przed mieszkanie swej narzeczonej o godzinie wpół do 11-tej i zastał tam już świadków ślubnych: Mansurowa i marszałka skupczyny, Nestorowicza, oraz krewnych i powinowatych. Po drodze towarzyszyły młodej parze okrzyki ludu: „Żywio!“ Na progu kościoła powitał stadło metropolita Innocenty, wśród asysty duchowieństwa. Przed ołtarzem było już zgromadzone ciało dyplomatyczne z żonami. Ślub odbył się podług obrządku kościoła wschodniego. *K. W.*



Muzaffer-ed-Din, szach perski.



Anarchista Franciszek Salson alias Karol Hoby
(napastnik szacha.)

Co to jest Cung-li-jamen?

Przeznaczony dla zagranicznych spraw cung-li-jamen, został utworzony w Chinach w roku 1861, ażeby tą drogą udostępnić stosunki posłom zagranicznym z dworem chińskim.

Cung-li-jamen składają: prezes, siedmiu ministrów, sześciu sekretarzy i trzydziestu kancelarzystów. Pomimo tak licznego składu tylko dwóch ministrów zasiada w jamenie, aby przyjmować przedstawicieli i zapisywać ich żądania. Gmach ten znajduje się we wschodniej części Pekinu, w oddaleniu o jakie przynajmniej dwie wiorsty od ulicy, na której mieszczą się poselstwa; jego architektura nie przedstawia nic godnego uwagi. Jaskrawo pomalowane drzwi prowadzą do niewielkiego ogrodu, w którym wznosi się pawilon drewniany, otoczony sztucznemi grotami. Otóż pawilon ten jest miejscem przyjęcia, przyczem przybywającym posłom podawana bywa herbata i ciasto. Tym sposobem posłowie zagraniczni mają do czynienia tylko z cung-li-jamenem, a nie bezpośrednio z cesarskim dworem.



Aleksander, król serbski.

Przyznać jednak trzeba, że cung-li-jamen przedstawia wielkie trudności: trzeba jechać około trzech wiorst przez najwstrętniejsze ulice. Zaledwie przybył poseł a już zaczyna się chińska ceremonia przywitania, trwająca conajmniej pół godziny. Następnie czy poseł chce, czy nie chce, wszystko jedno, częstują go konfiturami z dyni lub śliwek i rozstawiają je w niezliczonych miseczkach, na których dyplomata z wielką przyjemnością radby swoje papiery rozłożyć.

A tymczasem wiatr dobrze dmucha przez ściany, poseł siedzi jak na rozpalonych węglach. Nareszcie otrzymał chwilę rozmowy, ażeby mu wyjaśniono „dlaczego służbę pana Smith'a pobito?“ Ale tu dopiero rozpoczynają się zwykłe trudności dyplomacyi chińskiej, kto mianowicie ma zacząć rozmowę. Mądrość chińska powiada, że nikt nie powinien rozpoczynać rozmowy pierwszy. Ale przecież trzeba rozmawiać, otóż jeden z Chińczyków zaczyna: „Niech pan raczy spróbować tego orzecha, otrzymaliśmy go z Long-Weju, a poeta Theng opiewał o nim jako o najlepszym ze wszystkich owoców.“ Następnie zaczyna się wyliczanie wszystkich przymiotów ofiarowanego orzecha i po wyczerpaniu wszystkich przymiotów następuje nader budujące opowiadanie o korzyści dla zdrowia skórek pomarańczowych.

Skoro tym sposobem przyszykowano już sprawę polityczną, wtedy członkowie cung-li-jamenu, nie chcąc przełamać zwyczajów miejscowych i pierwsi przemówić, zaczynają odrazu objaśniać o zajściu z sługami Smith'a, wskutek czego powstaje taka gmatwanina, która doprowadza słuchacza do rozpaczy. A tymczasem wieczór zapada, powietrze się oziębia i nieszczęśliwy dyplomata czempredzej ucieka z chińskiego przybytku dyplomacyi.

Z tego to powodu posłowie oddają swoje sprawy tłomaczom. Opowiadają, że specyalnie umieli załatwiać sprawy w cung-li-jamenie tłomacze rosyjski i francuzki. Zaledwie który z nich wszedł do

pawilonu, zaraz rozpoczynał wykład o dyni i skórkach pomarańczowych i wykładał przez całe godziny, dopóki u Chińczyków nie wyczerpał cierpliwości. Następnie z taką samą wytrwałością mówił o sprawach polityki zewnętrznej i jeżeli członkowie cung-li-jamenu odkładali załatwienie poruszonej sprawy do dnia następnego, to i nazajutrz zjawiał się z takim samym programem. Koniec końców Chińczycy, pragnąc uprzedzić ponowienie się wykładu o dyniach i skórkach pomarańczowych i t. d. odrazu przystępowali do rzeczy, jak tylko tłomacza ujrzeli. *W.*

Wystawa paryska.

Paryż, 5 sierpnia.

Dział cudzoziemski jest różnorodny, bogaty i pouczający, a niejedno państwo urządziło oddany sobie zakątek o wiele piękniej i bardziej naukowo, niż Francya. Można to powiedzieć zwłaszcza o Japonii i Austryi.

Dział pierwszej uderza swojem bogactwem, swoją metodycznością i kompletnością. Austryacka zaś grupa urządzona jest z rzadką wykwintnością i elegancyą.

Zacznę jednak od tych, które bezpośrednio przytykają do sali francuzkiej. Mamy tu najpierw Holandyę, która słynie ze swoich ryb, łodzi i sieci. Owe też przedmioty stanowią główną część wystawy. Inne wytwory, jak n. p. garbnik, pochodzą przeważnie z jej posiadłości azyatyckich.

Przy Holandyi znajduje się Szwecya. Ta wyróżnia się od innych państw wystawowych odtworzeniem momentów pracy. Wielki, doskonale wykonany model ogromnej grupy tartaków wraz z zatoką, na której roji się od statków, zabierających tarcice, wbija się żywo w pamięć. Pomysłowem jest również przedstawienie panoramowe spławiania drzew. Na pierwszym planie widzimy szpilkowy las ze swojemi mchami i ptactwem, opodal zaś płynie rzeka, unosząca na swych falach ładunki drzewa. Nikogo przy ładunkach niema, rębacze spuścili je z gór, zaopatrzyli ładunek w odpowiedni znak i nie troszczą się o resztę. Nikt owocu ich pracy nie dotknie, dopłynie on na miejsce przeznaczenia. Bo w Szwecyi uczciwość nie należy jeszcze do rzadkości.

Szwecya wystawiła także swój węgiel kamienny i bawełnę wybuchową. Przy niej jest Hiszpania. Tu kwitnie przemysł korkowy i plecionkarstwo. Rzeczy lekkie, rzekłbyś symbole lekkomyślności hiszpańskiej, która państwo niegdyś najpotężniejsze dzisiaj zawiodła nad przepaść.

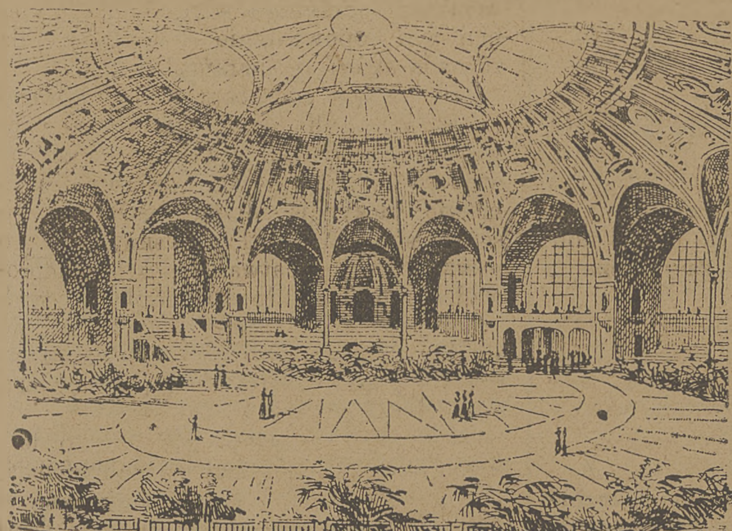
Rzecz dziwna, Niemcy prawie nie figurują w tym pałacu. Są tu tylko niemieckie maszyny do karmienia ryb, nici do wyrabiania sieci i strzelby. Potem rozsiadły się Stany Zjednoczone. Szczególnie dobrze przedstawia się w nich Kalifornia, która dostarczyła niezliczoną



Pawilon rosyjski.

ilość przyrządów rybackich, a zwłaszcza wędek. Tu także figurują: bardzo piękna kolekcya ryb i ptaków, model zakładu dla hodowli ryb nad jeziorem Erie, zbiór wagonów, służących do przewożenia ryb, wreszcie bogata wystawa przemysłu rusznikarskiego. Wśród owych strzelb północno-amerykańskich wyróżnia się system Savage: z odległości dziesięciu metrów przebija płytę żelazną grubości 70 centymetrów.

Teraz dopiero wchodzimy do oddziału japońskiego. Jakże imponująco przedstawiają się ci Azyaci! Najpierw dali oni kompletną wystawę swoich łodzi i sieci, według systemu europejskiego. Potem jak najzupełniejszą kolekcyę ryb, butle tranu i oleju rybiego, wyrabianego przez kompanie japońskie z Jokohamy, klej z roślin morskich zwanych bądź Kantan, bądź Funori; wyczerpujący zbiór muszel i muszelek. A na ścianach tablice uwzględniające szczegóły, których wcale nie uwzględniły wystawy państw europejskich.



Sala uroczystościowa.

Spojrzałem na tablicę, poświęconą wywozowi ryb. Rośnie on stale. — W r. 1894 wywieziono ryb za 11,824,000, w r. 1896 już za 12 mil., w r. 1897 za 14,207,000. Wskutek zbiegu okoliczności cyfra ta spadła w r. 1898 do 13 milionów. Nabywców zaś znajdują rybacy japońscy głównie w Hongkong i w Chinach, a potem w Ameryce i w Niemczech. Przechodzisz następnie jeszcze przez japoński najbogatszy na całej wystawie zbiór ptactwa i znajdujesz się w oddziale włoskim. Ryby i oleje rybie zajmują tu znaczną część, ale najpoważniej reprezentowane jest rusznikarstwo. Być może, że zamiłowania myśliwskie króla Humberta oddziałały w tym kierunku.

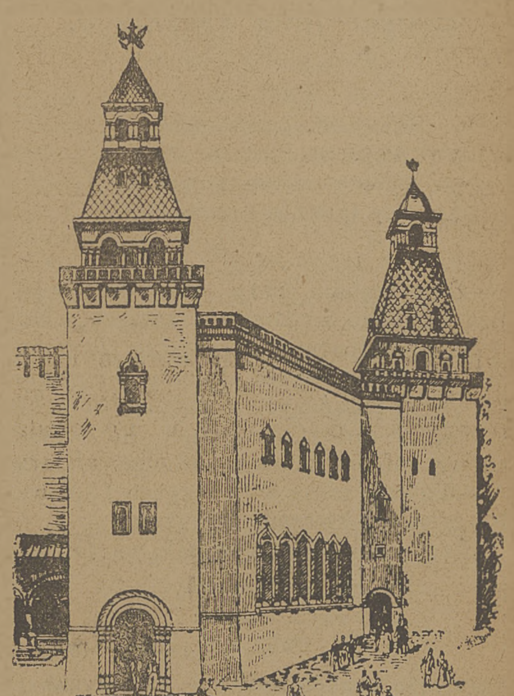
Równoległe do opisanych galeryi ciągną się na dole, w sali położonej nad Sekwaną, inne oddziały. Angielski, niezbyt duży, zawiera wędki, maszyny i broń. Rumunia przysłała głównie wyroby z drzewa, często wcale ładne i dowodzące, że ów kraj czyni postępy. Tak samo Dania popisuje się wyśmienitym przemysłem drzewnym. Pochlubić się nim może i Kanada, która bogactwa swego oddziału ozdobiła całem stadem łosiów. Prześliczne te zwierzęta powspinały się na stosy tarcic, beczek i sześcianów drewnianych i stojąc wśród nich myślisz przez chwilę, żeś w jakiemś leśnem zaciszu, bo chłodno tu, ludzi prawie niema, a drwa pachną wciąż jeszcze żywicą, choć już tak dawno je ścięto.

Rosyjski oddział, zajmujący dość znaczną przestrzeń (futra, przemysł drzewny, ryby, kawior) zostawia pod względem schludności oraz układu bardzo wiele do życzenia. Zauważyłem tu dobrze przedstawiające się wyroby (zwłaszcza gonty) warszawskiej fabryki Wiesiołowskiego.

Austryacka wystawa jest głównie prawie wystawą leśniczą. Ale też wszystkie działy jej są wzorowo urządzone. Kilkanaście map objaśnia sprawę zarządu lasów. Walka z owadami zaprząta leśników austryackich równie żywo, jak francuzkich, ilustrują też ją niemniej liczne wydawnictwa i modele. Potrzeba dodać, że są o wiele doskonalsze i ozdobniejsze.

W grupie zwierząt leśnych ciekawa jest kolekcya odcisków łap. Przemysł leśny urządzony jest wspaniale. Nadto na stołach leżą zawodowe broszury i rozprawy, i każdy kto chce, może je brać.

Ale wśród krajów austryackich jeden świeci nieobecnością. Wszystkie prowincye austryackie mają swoje stoły, swoje szafki. Galicyę reprezentuje tylko



Pawilon syberyjski.

pół tuzina wyrobów huculskich i jedna fotografia huculskich cieśli!

Wstyd i hańbę czuje się po tem skonstatowaniu. A przecież w Galicyi od jednego końca kraju do drugiego wzdłuż Karpat ciągną się lasy, a i w północnej części także ich nie brak. Wszak istnieje jakaś puszcza niepołomicka! Wszak bogactwo jej fauny jest takie, że mogło wypełnić wielkie muzeum Dzieduszyckich, jedno z najpiękniejszych muzeów przyrodniczych Austryi i Europy! Przecież posiada ona przemysł drzewny i liczne tartaki. Podobno mieszkańcy jej łowią ryby w rzekach, zwących się Wisłą, Sanem i Dniestrem.

Nie szukajcie nic galicyjskiego na wystawie. Maleńka Bukowina ma tam całą swoją witrynę. Tyrol włoski ma swoje wytwory, modele, maszyny i drukowane wydawnictwa. Czesi pół stołu założyli czeskiemi publikacyami, Galicyan to nic nie obchodziło. Oni nie mieli czasu zajmować się takiemi głupstwami, jak obesłanie wystawy leśnej i rybackiej w Paryżu.

Biedna kraina!

Odczułem żywo to niedbalstwo, bo w ciągu długoletniego mego pobytu zagranicą miałem sposobność przekonać się wielokrotnie, jak narody zachodnie oceniają objawy życia umysłowego i ekonomicznego, jak liczą się znacznie mniej z innemi kwestyami, niż z pytaniami natury duchowej i ekonomicznej. Dajcie dowody swoją pracą i postępami, że żyjecie, a będziemy was szanowali i czuli dla was sympatyę.

Ale galicyjscy mężowie stanu w ciągu całego ubiegłego roku mieli ważniejsze zapewne zajęcia, niż złożyć światu dowody postępów ekonomicznych swego kraju. Wszak przy obecnych obstrukcyach można łowić doskonałe synekury. To najważniejsze myśliwstwo i rybactwo.

A tymczasem każdy zawodowiec cudzoziemski, przejrzawszy całą Austryę i nie dopatrzywszy się nigdzie Galicyi, mówi sobie:

Co za zaniedbany kraj.

Specyalny.

Pieśni ludu czeskiego.

(Wspomnienia z Czech.)

Otcze, otcze, otcze nasz,
Ma panenko, jak se masz?
Zdrawa, zdrawa, zdrawa sem,
Gdy te widim rada sem!

* * *

Tony trąbki, dudy, klarnetu i gęśli dają hasło do rozpoczęcia zabawy. Kto żyw, zapominając o śnie, jadle, zdrowiu, ba! — często i życiu, śpieszy do gospody, aby potańczyć i pośpiewać sobie o tem, co dolega, co smuci, lub weseli. Starzy, młodzi, żonaci, nieżonaci, dzietni i bezdzietni, topią w podrygach i śpiewie dolegliwości kieszeni lub serca...

Lud czeski, ów wieśniak, co to

Pas nosi na brzuchu
A na swym kożuchu
Tuli... tuli... tuuli — pan —

wyrażając uczucia miłosne, zapożycza do nich barw od otaczającej go przyrody: wszechświat pełen jest wdzięków, szeptu i wspomnień ukochanej:

Ludzie powiadają,
Że się od gór mroczy,
A to się czernieją
Mej panienki oczy....

Ludzie powiadają,
Że się od gór żarzy,
A to jej tak płonie
Rumieniec na twarzy....

Ludzie powiadają:
Świta już wokoło!....
A to tak jaśnieje
Mej panienki czoło....

Sięga też do skarbnicy humoru, ozłacając nią dolę szarą:

Raz gdy szedłem ścieżką wązką
Spotkałem się z panną gąską:
Mała, nieco gruba,
Ale za to — luba!...
Widząc, że wcale nie stroni,
— Pójdziesz za mąż? — mówię do niej.
— Za rok, za dwa lata
Powiada nasz pan tata!...

Jeżeli miłość zależna jest od woli rodziców, to „z tatą“ można w swoim czasie dać sobie radę: zrobi się pewne ustępstwo przy posagu, lub coś podobnego i — sprawa załatwiona!... Ale nie zawsze tak bywa... Tak, bo i tu śród ziemi bogatej, — pięknej — tu śród ludzi żyjących na łonie natury, jak zawsze i wszędzie, są niepowodzenia różne i skargi i łzy... Bo i tutaj — jak zawsze i wszędzie — serce, ta wieczna lawa ognista, nie może łatwo zrezygnować lub powiedzieć sobie spokojnie — czekać!... czekać!... Bo i tutaj — w piersi wieśniaka — rodzą się sny, tęsknoty i cały rój marzeń niewyśnionych, co prześladują wiecznie — i w dzień i w nocy.

Ach, nie ma, tu nie ma,
Coby mnie cieszyło....
Ach, nie ma, tu nie ma,
Co mnie cieszy....

Wodą popłynęło,
Coby mnie cieszyło...
Ach, nie ma, tu nie ma,
Co mnie cieszy....

I nigdzie spokoju nie ma od niej, od tej miłości nieuznanej, wzgardzonej.

A ja ciągle mówię,
Że mnie główka poboliwa,
A ja ciągle mówię,
Że mnie głowa boli...

Przecież ja po tobie
W niemoc nie popadnę,
Ani skargi z ust mych
Nie popłyną żadne....

Nawet przy robocie snują się westchnienia:

Kiedym siała mak,
Tak mi szkoda, tak!....
Szkoda tego miłowania,
Że nie potrwa do skonania,
Tak mi szkoda, tak....

Kiedym pełła w lnie,
Nie wiedziałam, nie,
Czemu mnie tak serce boli...
Że mój miły inną woli,
Nie wiedziałam, nie....

Nie ma bo złotej doli dla zakochanych nawet wtedy, gdy miłość jest podzieloną... Tym razem występują na scenę zazdrośnicy, rywale, kumoszki i cała ta zgraja śledzi, szpieguje, bada...

— Ileś dało całusów
Chłopcu swemu wczora,
Kiedyś stało, dziewczę, z nim
W dole u jeziora?
— O całusach nie wiem nic,
Bo całusy zdradne;
Jeśli prawdy nie mówię,
To niech trupem padnę!...
— Ale ludzie prawili,
Żeś ich ze sto dała....
Widzisz, dziewczę fałszywe,
Żeś mnie okłamała....
— Ach, ci ludzie, ludzie źli
Plotą i nic więcej,
Przecież wnet mi zwrócił ich
Najmniej sto tysięcy!....

Swarzą się wreszcie i sami zakochani:

— Janeczku, Janeczku,
Nie całuj tak,
Bo od tych całusów
To będzie znak....
— Gdybym liczko ci uszkodził
W godzinę złą;
Toćby przecież nasz pan proboszcz
Naprawił to!....

Tak bywa, gdy jest wzajemność, ale gdy jej nie ma, to zapewne i proboszcz — „pan farász“ — na to nie poradzi...

Szkopuły przeważnie bywają natury materyalnej:

Jestem mały pachołeczek
I mało mam koszuleczek:
Moja miła mnie się wstydzi,
Bo mnie ciągiem w jednej widzi.
Ej, nie bój się, miła, o mnie,
Mam ja w domu nie tak skromnie
Dwie są cienkie, dwie — rogoże,
Zresztą — Bóg nam dopomoże!...

Drugi znów śpiewa sobie rezolutnie:

Nie chce chuda mnie ni tłusta,
Ach, bo kieszeń moja pusta...
Pójdę od panny do wdowy,
I będę miał grosz gotowy....

Inny wreszcie, uprzykrzywszy sobie widocznie zaloty, chociaż luba ostatecznie nie byłaby od zgody, powiada z uporem naszego wieśniaka:

Kiedyś mię nie chciała,
O mięsopuście,
Toś teraz — w post święty
Nie w moim guście.

I pono lepiej wychodzi na uporze swoim, aniżeli ów, co słyszy przy sobie lamenty połączonej bez wzajemności niewiasty:

Śpiewałabym sobie,
Śpiewała wesoło,
Cóż gdy nie raduje
Serce nic wokoło.
Nic mnie nie raduje,
Pożal że się człecze,
To, co mi niemiłe,
To się za mną wlecze....

A tym piosnkom, nuconym chóralnie, wtorują śmiechy i żarty, ujmując im smutku, a nawet tragizmu, a dodając wesela, wtorują dźwięczne tony trąbki, klarnetu i gęśli, dziarskie w takt muzyki przytupywania i ochocze okrzyki:

Hop sa sa!... jakgdyby w myśl naszego przysłowia: chociaż bieda, ale hoc!...

Teodor Szabłowski.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Emigrant i wygnaniec.

Po chwili nie mogła już wątpić. Klucz ze zgrzytem pracował nad otworzeniem drzwi jej więzienia.

Zbliżało się rozwiązanie jej losu. Wątpliwości prawie nie było. Satrapa miasteczkowy, dziki i rozbestwiony Moskal, który spełnił na niej jedno bezprawie osadzając ją w więzieniu, szedł teraz odwiedzić swą niewolnicę, szydzić i naigrywać się z niej.

Szydzić i naigrywać się z niej!.... gdybyż tylko!....

Szedł jej przynieść hańbę i śmierć.

Wszystkie te myśli w mgnieniu oka przebiegły przez głowę Konstancyi.

Chwyciła się rękami za głowę i zasłoniła sobie oczy. Rozsadzało jej czaszkę pytanie straszne, na które nie było odpowiedzi, pytanie krótkie i kategoryczne jak zimna i nieugięta fatalność.

— Co począć?....

Drzwi się otworzyły w istocie i nim Konstancya miała czas odjąć ręce od oczu, wiedziała już, że wszedł do jej celi mężczyzna. Mężczyzna ten padł jej do nóg, rękami objął jej kolana i nogi jej okrywał pocałunkami.

Konstancya czuła, że duch z niej ulatuje.... moment jeszcze a nie byłaby zdolną czuć, myśleć, widzieć, słyszeć, żyć.

Było coś jednak, co jej ducha wstrzymywało w odlocie. Zdawało jej się, że u stóp swoich słyszy wyrazy polskie znanym wymawiane głosem.

— Panienko moja!... panno Kostusiu!... jaśnie wielmożna panienko!...

V.

Modlitwa Konstancyi została wysłuchana, ocalenie przychodziło prawdziwie z nieba.

U stóp jej klęczał nie napastnik, którego się obawiała, ale obrońca.

Obrońca w sołdackiej szynieli, z ostrzyżoną podług form przepisanych głową, nie różniący się na pozór niczem od innych sołdatów i taka bierna maszyna jak oni, ale przemawiający językiem współczucia i wybawienia, głosem znajomym, choć go sobie odrazu przypomnieć nie mogła.

Dopiero ochłonąwszy z pierwszych wrażeń, Konstancya zbierać zaczęła swoje wspomnienia i postać człowieka, który znajdował się przed nią, zarysowała się nieco wyraźniej w jej pamięci.

Przypomniała go sobie, gdy on był szesnastoletnim wyrostkiem, a ona dwunastoletnią dzieweczką i na której usługi ów wyrostek gotów był rzucić się w ogień i w wodę.

Był to wychowaniec podstarościego z Zaskala, poczciwego starego Lemieszyńskiego, dziecko znalezione pod płotem i przytulone przez starca, który pozbawiony będąc rodziny, chciał sobie tym sposobem zapewnić pociechę na dni ostatnie.

Dziecko to nazwano Iwankiem. Nietrudno było Lemieszyńskiemu wychowywać Iwanka, bo z łaski rotmistrza miał dość chleba, aby się nim dzielić z sierotą, ale poczciwy podstarości miał zbyt dobre serce, żeby chłopca utrzymać w tym rygorze, jakiego wymagała butna i niesforna jego natura. Rozpieszczony przez opiekuna chłopiec wyrósł na wisusa pierwszego rzędu, którego lekkomyślności niczem już później poskromić nie było można. Jedna tylko panna Kostusia miała na niego wpływ, i gdy się na niego rozgniewała, gdy mu nagadała morałów, które ze względu na jej wiek brzmieć musiały przy całej swej powadze bardzo komicznie, upamiętywał się na dni kilka, stateczniał, stawał posłusznym opiekunowi, odradzał.

Ale trwało to tylko przez kilka dni, a potem znów charakter brał górę nad powziętem postanowieniem i chłopiec stawał się wartogłówem, hultajem, aż stary Lemieszyński załamywał ręce i powtarzał z rozpaczą:

— Mój Boże! co z tego chłopca będzie!...

Tak upływały lata; jednego razu, po jakiemś większem przewinieniu znikł Iwanko z Zaskala i już o nim nie słyszano więcej.

Gdzie się obracał, co robił, niewiadomo. Przeznaczonem było, że Konstancya spotka go dopiero w tej chwili, gdy z narażeniem siebie samego będzie się mógł stać jej wybawcą, spotka go dopiero wówczas, gdy ubrany w mundur sołdacki u drzwi jej kaźni postawionym będzie na straży.

Czytelnik prędzej niż ktokolwiek w Zaskalu pojmie przyczynę owej ucieczki Iwanka z Zaskala i puszczenia się jego na wędrówkę po szerokim świecie.

Młody chłopiec był zły na siebie, że swojej natury poskromić nie mógł, że „jakiś diabeł w nim siedział“, jak to sam zwykł był tłumaczyć w chwilach skruchy, i tyle miał nad nim mocy, że go wciąż robił przyczyną zmartwienia dla starego opiekuna, który go kochał, dla wszystkich, co mu dobrze życzyli, i dla tej „panienki Kostusi,“ na której wyrzuty i nagany najmniej podobno zasłużyć pragnął. Widząc, że sam siebie nie pokona, postanowił uciec i uciekł. Konstancyi ani przez myśl przejść nie mogło, że ona była najbezpośredniejszą przyczyną jego ucieczki, że gdyby nie ona, niesforny chłopak byłby aż do końca trapił starego Lemieszyńskiego wybrykami swojej młodości, i goił rany sercu jego zadane przyrzeczeniami poprawy, o której na serjo nie myślał.

Jej się tylko Iwanko wstydził, jej tylko jednej zwodzić nie chciał, a gdy po kilkodniowym upamiętaniu się wskutek jej upomnień, znowu sobie cugli popuścił i mógł się spodziewać, że się znowu z jej niezadowoleniem spotka, wtedy zawsze najdziksze do głowy przychodziły mu myśli, wtedy upatrywał najgrubszego drzewa w lesie, ażeby się na niem powiesić, albo najgłębsze kotliny w Smotryczy, żeby w jej falach przed młodziutką panią ukryć. I wtedy, gdy stary Lemieszyński, powtórzył zwykle swoje utyskiwające pytanie: „Mój Boże! co z ciebie chłopcze będzie?“ jemu także snuła się po głowie uwaga:

— Stary chyba prawdę powiada, że ze mnie nigdy nie będzie nic!

W jednej z chwil takich uplanował i wykonał swoją ucieczkę.

Że mu się na szerokim świecie nie szczególnie wiodło, dowodem była ta szyniel sołdacka, którą nosił na sobie; że mu z pamięci i z serca nie wywietrzały dawne wspomnienia, że kilka lat spędzonych zdala od wioski, w której się wychował, nie przecięły nitki, jaka go z tą wioską i jej mieszkańcami łączyła,, dowodziło to, że poznał panienkę i że z takiem wzruszeniem do jej nóg się rzucił, a że się nie zmienił jego charakter, lekki i płochy, ale w gruncie poczciwy, o tem miało dalsze jego postępowanie dać świadectwo.

— Ah! to ty, Iwanku! — rzekła Konstancya przychodząc do siebie.

— Boże mój! Boże mój! panienka moja mnie poznała! A! choćby mnie pałkami zabić mieli, zrobię wszystko co mi panienka każe, żeby panienkę ztąd uwolnić, za to, że panienka pamiętała o hultaju Iwanku, który tego nie wart był nigdy!..

I łzy serdecznego rozrzewnienia spływały po twarzy zaszytego w szyniel moskiewską chłopca.

— Zkąd panienka tutaj w głębokiej Moskwie?... uwięziona?... na Boga! co się stało?... co robi pan rotmistrz...

— Jechałam do niego.

— W głąb Moskwy?... więc go wywieźli?...

— Wywieźli!...

— Ha, łotry! — zgrzytnął zębami i zacisnął pięści żołnierz carski — ha łotry!... a mój stary, umarł z pewnością z żalu, że się tak stało...

— Żyje...

— Mój Boże! czy ja go kiedy zobaczę? Ale tutaj nie o mnie idzie... panienkę trzeba ratować!... panienka tutaj w turmie zostać nie może... panienka musi jechać dalej, tam pan rotmistrz czeka...

— Słaby... umierający, — westchnęła Konstancya.

— Panienko, Kostusiu... jaśnie wielmożna panienko... pan rotmistrz słaby, pan rotmistrz umiera... chwili czekać nie można. Z tej turmy jest wyjście tylne przez podwórze, tam

nikt nie pilnuje i nie uważa... proszę ze mną... ja panienkę wyprowadzę...

Konstancya postąpiła kilka kroków i już blisko tej klamki, której dotknięcie miało być jej ocaleniem, zawahała się.

— Ale... — rzekła — cóż z tobą będzie?...

— Ze mną... a cóż panienko?... nic!... Mnie to już dawno mój poczciwy stary przepowiedział, że ze mnie nic nie będzie. O tem nawet nie warto myśleć, proszę panienki!...

I gestem ją zachęcał, żeby wyszła.

— Ależ ty będziesz za to odpowiadał, żeś mnie wypuścił!

— A to będę odpowiadał — odparł Iwanko rezolutnie — albo to mnie kiedy odpowiedzi brakowało, proszę panienki.

Kłamał poczciwiec. Za owych lat młodzieńczych, ile razy Konstancya go gromiła, że opiekunowi swemu życie zatruwa lekkomyślnością swoją, tylekroć zawsze brakowało mu odpowiedzi.

— Co im powiesz?

— To, co się mówi zawsze: *nie widał, nie słychał, niczewo nie znaju, wasze błahorodje.*

— Nie uwierzą.

— To ich rzecz, a moja rzecz tak powiedzieć.

— Będziesz karany.

— To i cóż? Jak zaczną bić, to może coś dobrego ze mnie wybiją! żeby mnie bił kiedyś mój poczciwy stary, tobym teraz nie był sołdatem.

— Ależ ja takiej ofiary przyjąć nie mogę... zostanę tutaj... nic wielkiego mi nie zagraża... był ktoś taki, co obiecał jutro mnie ztąd wyprowadzić... do jutra przygotuję wszystko, żeby się nie wykryło...

— Ktoś obiecał... więc ja się już na nic nie przydam mojej panience — odpowiedział smutnie Iwanko.

— Przyjęłabym chętnie twoją ofiarę, ale narażać cię na katowanie nie mogę. Chyba gdybyś mógł...

— Gdybym mógł co?

— Uciec także.

— Każe panienka, to ucieknę, ale to wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Złapią... a wtedy gorzej! Zostając, można się wykłamać...

— Na to liczyć nie mogę... zostanę...

— A któż to panience obiecał, że do ucieczki dopomoże?

— Ten żołnierz, co tu przed tobą stał na warcie.

— Semen!... złodziej i pijanica!... Przyrzekł za darmo?

— Nie! dałam mu pieniędzy...

— No, to będzie całą noc pił i o żadnym ratunku nie pomyśli. Już ja go znam, nieraz tak robił... ale to całe szczęście, że tak się stało... teraz panienka może śmiało uciekać... mnie się nic a nic nie stanie.

— Zwodzisz mnie, żebym twoją ofiarę przyjęła.

Iwanko uderzył się pięścią w czoło.

— Mój Boże! — zawołał — po co mnie żyć na tym świecie?... Hultaj byłem i łotr, mam teraz za to!... Choćbym przysięgał, nikt mi wierzyć nie będzie! nie będzie mi wierzyła moja panienka!

Łzy gwałtownie cisnęły mu się do oczu, starał się jednak panować nad niemi.

Konstancya patrzyła nań zdziwiona.

Po chwili przyszła mu nagła myśl. Szarpnął się gwałtownie za kołnierz swojej sołdackiej szyneli, wsunął jednę rękę pod szyję i wydobył zawieszony na piersiach szkaplerz.

— Widzi panienka? — rzekł — tę świętość dostałem kiedyś, kiedym był mały z rąk panienki, kiedy panienka była taka maleńka... Nie ma dla mnie większej świętości... Jej winienem, żem nie został dotąd i nie zostanę nigdy złym człowiekiem, chociaż jestem nic wart... Panienko! na tę świętość przysięgam, że chociaż wyprowadzę ztąd panienkę, nie stanie mi się nic... a jeśli panienka nie uwierzy, to nie mam już po co żyć na tym świecie.

To powiedziawszy, ucałował pobożnie szkaplerz i uroczyście powtórzył:

— Przysięgam!

— Cóż robisz? — zapytała Konstancya.

— Wiem... ale niech panienka nie pyta, nie powiem.

— Słuchaj! ufam ci! pamiętaj, że Bóg słyszał twoją przysięgę, i że jeśli była fałszywą, pomoc twoja nie pomoże mi, zgubi mnie tylko.

— Nie kłamałem i niech mi Pan Bóg tak dopomoże, jak prawdę powiedziałem... Chodźmy panienko.

Otworzył drzwi. Wyszli.

Na korytarzu nie było nikogo. Iwanko przewidział wszystko dobrze. Żadna przeszkoda nie stanęła na zawadzie ucieczce. Po za wyjściem z podwórza turmy były dosyć gęste zarośla. Wskazał Konstancyi drogę przez nie, prowadzącą prosto za miasto i bezpieczną.

— Iwanku! — rzekła Konstancya — dziękuję ci i mam nadzieję, że ci kiedyś będę mogła dopomódz, tymczasem podzielę się z tobą.

— Pieniędzmi? — oh! nie, panienko, niepodobna!...

— Dlaczego?

— Gdybym przyjął cokolwiek... znalezionoby przy mnie, a wtedy jużbym nie mógł dotrzymać mojej przysięgi...

— Więc w innej sposobności wywdzięczę ci się... W którym pułku służysz?

— W sześćdziesiątym czwartym liniowym, szósta kompania...

— Dobrze...

— Ale niech się panienka spieszy.

Konstancya podała mu rękę, ucałował ją, schylił się do jej kolan i ucałował jeszcze. Potem rzekł:

— Prędzej! prędzej panienko — tam!

Konstancya znikła, on się cofnął, zamknął za sobą podwórzowe wyjście, powrócił na swoje miejsce i dalej stał na warcie przed opróżnioną już kaźnią.

Nie upłynęło godziny, czynownik, któregośmy widzieli w urzędowej kancelaryi, ukazał się na korytarzu turmy.

Szedł szybko, uśmiechając się i oblizując charakterystycznie.

Gdy spostrzegł żołnierza, zatrzymał się.

— Cóż ona tam robi? — zapytał.

— *Nie znaju, wasze błahorodje!* — odpowiedział śmiało Iwanko.

— *Kak, nie znajesz?* — zawołał czynownik zdziwiony wszakże kazano patrzeć.

— Patrzyłem...

— I cóż?...

— Tam nie ma nikogo, *wasze błahorodje!*

— Jak śmiesz mówić coś podobnego! — zaperzył się małomiejski satrapa.

— *Tam nikawo niet, wasze błahorodje* — powtórzył spokojnie Iwanko — i nikogo nie było — dodał po chwili.

— Czynownik sam przyskoczył do szybki i niebawem przekonał się naocznie o prawdziwości słów żołnierza.

— *Uszła! ja tiebia ubiju!* — wrzeszczał rzucając się na Iwanka.

— *Ja niczawo nie winowat, wasze błahorodje* — odparł z tym samym spokojem wychowaniec Lemieszyńskiego — jej tam nie było.

Stanowczość i spokój Iwanka zaimponowały Moskalowi.

— Dawno stoisz na warcie? — zapytał.

— Dwie godziny.

— Kto ci zdał wartę?

— Semen.

— Gdzie on?

— *Nie znaju!*

— *Posłat za Semenom!* — zagrzmiał rozkaz czynownika, na odgłos którego zjawiło się kilku tak zwanych „niżnich czynów“, stanowiących obsługę turmy.

Rozkaz wykonano wkrótce. Semena znaleziono w jednym z miejskich „kabaków“ i przyprowadzono przed groźne oblicze assesora.

Zaczęło się śledztwo i łatwo się domyśleć, jak wypadło. Przy Semenie, w bucie, znaleziono gotówką dziewięć rubli i kilkadziesiąt kopiejek drobnej monety, przy Iwanku nic. Semen klął się, że o niczem nie wie, że uwięzioną zdał swemu następcy, że pieniądze czort musiał mu schować do buta, nie mając gdzie ich ukryć naprędce. Iwanko powtarzał to, co się odpowiada zawsze: *Nie widał, nie słychał, niczewo nie znaju.* O winie rozstrzygało *corpus delicti*, znalezione przy Semenie, a że wartość tego *corpus delicti*, nie była do pogardzenia, o pochwyceniu zaś zbiegłej myśleć nie było można, bo nie było ani podstawy do ścigania jej urzędownie, ani prawdopodobieństwa, żeby po upływie tak długiego czasu nie zdołała dobrze się ukryć, więc Moskal pogodził się z losem i cały wymiar sprawiedliwości ograniczył się na zabraniu znalezionych przy Semenie rubli do swojej osobistej kieszeni, oraz na udzieleniu temuż w sposobie pokwitowania czy admonicyi kilku własnoręcznych kułaków, które Semen, na pół już pijany i oswojony z tego rodzaju przyjemnościami, z dobrą wcale miną wytrzymał.

Konstancya tymczasem była już daleko, wdzięczna Opatrzności za ocalenie z niebezpieczeństwa i wdzięczna człowiekowi, którego ta Opatrzność postanowiła użyć za narzędzie.

Dalsza jej podróż, choć z równym trudem i narażeniem się odbywała, doszła przecież szczęśliwie do swego kresu

Po upływie kilku tygodniu od wyjazdu, żona Stanisława stanęła w miasteczku, do którego wywiezionym był rotmistrz i z którego niewolno mu było pod żadnym pozorem się wydalać.

Było to w jednej z bardzo odległych, ale europejskich jeszcze gubernii.

Nie probójmy opisywać co się działo w duszy Konstancyi, gdy dowiedziała się nakoniec, że parę godzin tylko oddziela ją od celu jej podróży i z jak ściśniętem sercem zobaczyła rysujące się w oddali miasteczko, będące siedzibą jej dziadka.

Pragnęłaby ptakiem wyrwać się z tarantasu, który ją wiózł, i znaleźć się u łoża tego starca, który był dla niej ojcem i matką, trzeba jednak było poddać się losowi i przeżyć jeszcze te ostatnie chwile oczekiwania, przeżyć je z nieodstępną myślą:

— Może go już w grobie zastanę!...

Przeżyła i te chwile najtrudniejsze, stanęła w miasteczku i nie wątpiąc, że o starcu-wygnańcu wszyscy wiedzieć muszą, pierwszą spotkaną kobietę zagadnęła pytaniami.

Nie omyliła się, wiadomość dano jej odrazu, i to wiadomość nie taką, która chociaż przez całą drogę przewidywana, byłaby w nią uderzyła piorunem.

Kobieta odpowiedziała jej szybko:

— Pan Gradowski... ależ żyje... zdrowszy... zdrów prawie... chodźże pani... mieszka w naszym domu...

Z gorączkowym pospiechem podążyła Konstancya we wskazaną stronę, tak że kobieta, która ją prowadziła, zaledwie mogła dotrzymać jej kroku.

U progu drzwi samych zatrzymała się wnuczka rotmistrza. Instynkt dziecięcej miłości przypomniał jej, że nagłe wzruszenie mogłoby zaszkodzić starcowi.

— Idź go pani uprzedź ostrożnie — rzekła.

— Nie trzeba — odpowiedziała kobieta — on od rana o niczem nie mówi, tylko o tem, że dziś panią zobaczy...

Uchyliła drzwi, rotmistrz siedział w fotelu i do Konstancyi nieśmiejącej wejść dobiegło jego pytanie:

— Cóż?... przyjechałaś?...

— Jest — odpowiedziała gospodyni i w chwilę potem Konstancya tuliła głowę do piersi rotmistrza.

VI.

Nie powiedzielibyśmy nic nowego, powtórzylibyśmy tylko tysiąc razy przez wygnańców naszych opowiadanie rzeczy, gdybyśmy się szeroko rozwodzić chcieli nad tem, że dolę wygnańczą wywiezionych do odległych gubernii lub na Sybir, czy to skutkiem wyroku sądów wojennych, czy tak zwanym „administracjonnym parjadkom,“ o wiele lżejszą i łatwiejszą czyni współczucie, jakiego doznawać zwykli od miejscowych mieszkańców. Przeciętnie wzięte Moskal, ten sam nawet, który „po ukazu“ gotów jest z zimną krwią spełnić najdziksze barbarzyństwo, jest człowiekiem dobrego serca, chętnie dzielącym się z innymi tem co ma, skłonnym do poszanowania wyższości moralnej i intellektualnej, wdzięcznym za dobro, jakie mu się wyświadcza, odwzajemniającym uprzejmość, jaką mu się okazuje, litościwym dla nieszczęścia, ochoczym do niesienia pomocy potrzebującemu, umiejącym się przywiązać i kocha. Nad tem wszystkiem góruje wprawdzie zakorzenione wielowiekową niewolą i niemal w dogmat zamienione przeświadczenie, że co „prykazano,“ to nie szemrając spełnić trzeba i pod wpływem tego przeświadczenia z tych samych ludzi, których możnaby do rany przyłożyć, robią się bezwzględni i nielitościwi carscy siepacze, natura jednak tego ludu jest dobrą, łagodną, może nawet miękką do zbytku. Anegdota o Soworowie, który w czasie rzezi pragskiej płakać miał nad skaleczonym przypadkowo indykiem, zbyt jest zgodną z charakterem Moskala, żeby mogła być zmyśloną i nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby jaki bezstronny biograf wykazał, że Murawiew-Wieszatel w stosunkach prywatnych był człowiekiem łagodnym, uczuciowym i serdecznym. Te dodatnie strony charakteru Moskali mieli sposobność poznać wszyscy nasi wygnańcy, którzy mogli się zetknąć z tym ludem po za obrębem jego cynowniczej i żołdackiej sfery, i jednozgodne mogą oddać świadectwo, że jest coś poczciwego w naturze naszych ciemięzców, że chociaż każdy z nich rzuci się zapamiętale, nie pytając na kogo, jeżeli go przeciw komu pan jego poszczuje, jeżeli jednak pan nań nie woła „zabij!“ jest stworzeniem łaszącem i nieszkodliwem.... Ten sam sołdat, który bez litości potrąca kolbą skutych po kilku łańcuchami i pędzonych od etapu do etapu, a upadających z wycieńczenia skazańców i nie szczędzi im obelg, nim go przyodziano w mundur sołdacki dzielił się z nimi ostatnią kopiejką i kęsem od ust własnych odjętego chleba, a gdy zrzuci carską obróżę, będzie miał znów za religijny obowiązek wspierać jałmużną „nieszczastnych“ i okazywać im współczucie, jakby w świadomości tego, że ich dola wskutek pierwszego lepszego kaprysu możnowładcy może się stać bez żadnej jego winy jego dolą.

Tego współczucia doznawał i tego poszanowania był przedmiotem sędziwy nasz rotmitrz na wygnaniu, na które został wywieziony bez wyroku, tak zwanym administracyjnym porządkiem. Mogło to łagodzić nieco jego dolę, wątła to przecież i małoznacząca była pociecha, bo serca obce nie mogły mu zastąpić serc najdroższych, obce niebo nie zastąpiło swego nieba, a myśl, że nie w ojczystej ziemi przyjdzie mu kości swoje złożyć, ostatnie dni mu zatruwała. Co gorsza, sędziwy, ale dzielnego ducha starzec, nie ugiąłby się pewno, gdyby się widział prześladowanym i dręczonym bezpośrednio, gdyby dokoła siebie widział tylko wrogów i tyranów, tymczasem współczucie i życzliwość, jakie go otaczały, osłaniały hart jego duszy. Niszczał i wiądł w owym miejscu zsyłki, w którem napozór nic mu nie brakowało oprócz możności powrotu; niewidzialne kajdany zakazu wydalenia się z miejsca bardziej mu ciężyły i bardziej go gniotły niżby mu ciężyły i dolegały rzeczywiste, dające się w rękę ująć i zważyć. Z każdym dniem wzmagała się jego tęsknota do kraju i ona to nakoniec złożyła go na łożu boleści, z którego był pewnym, że nie powstanie i z którego pod wpływem tej pewności wysłał znaną nam już sztafetę.

Ale zaraz po wysłaniu tej sztafety, którą sobie później jako słabość wyrzucał, ale której już cofnąć nie było podobna, wstąpiła w niego jakaś, nadnaturalna prawie otucha.

— Nie przeznaczono mi widocznie umrzeć tutaj — powiedział sobie — kiedy mi mogła przyjść myśl, że jeszcze wnuczkę moją zobaczę, i nie wolno mi nawet umierać nim ona przyjedzie, bo cóżby powiedziała, gdyby przyjechała i nie zastała mnie już na tym świecie?... Powiedziałaby, że się na swym dziadku zawiodła pierwszy raz w życiu, a ja ją przecież od dziecka uczyłem, że ufać mi powinna, że na tem, co ja powiem zawsze polegać może.... Nie! rotmistrzu, musisz żyć, kiedyż sobie pozwolił wezwać wnuczkę swoją do siebie, oderwać ją od innych, milszych dla niej obowiązków, musisz żyć!...

Powiedział sobie rotmistrz. że żyć będzie i żył. Nietyle zapewne silna wola jego sprawiła, że ustępowała choroba a powracały siły, ile oczekiwania, nadzieja i wiara, że to oczekiwanie daremnem nie będzie, rotmistrz jednak nie badał tego tak głęboko i powtarzał sobie nieraz:

— Żyję, bom powinien.

Obliczywszy odległość, wyrachował mniej więcej czas, po upływie którego mógł się spodziewać przyjazdu wnuczki. Dzień obrachowany przypadał na kilka dni przed rzeczywistym przyjazdem Konstancyi i tego dnia po raz pierwszy rotmistrz uczuł się na siłach powstać z łóżka.

Doktor nie pozwalał mu jeszcze, gospodyni chciała oponować, ale stary się uparł.

— Muszę wstać — mówił — Kostusia przyjedzie lada dzień, przez czas tego leżenia chodzić zapomniałem, wstydby mnie było, gdyby mnie dziecko uczyć miało.

Wstał i chodził, ale choć mu z obliczeń wypadło, że wnuczka tego dnia przyjechać powinna, nie spodziewał się jej przecież wcale w tym dniu.

Nie spodziewał się jej również dnia następnego, ale ciągle był przekonany, że przyjedzie lada dzień. Chód jego stawał się codzień pewniejszym, siły jego powracały wyraźnie, rekonwalescencya odbywała się szybko, lekarz zacierał ręce, a gospodyni z zadowoleniem opowiadała sąsiadkom i znajomym o przychodzeniu do zdrowia staruszka.

Ale po upływie dni kilku zatrwożyli się o niego wszyscy.

Nadzieja nagle zmieniła się w pewność. Nie mówił już, że ukochane jego dziecię w tych dniach na wygnaniu go odwiedzi, ale twierdził stanowczo, że Kostusia przyjedzie dziś, wsłuchiwał się w lada szmer, który dobiegł do jego ucha, a rozpoznawszy jego przyczynę, mówił do siebie spokojnie:

— Nie, to jeszcze nie ona.

Gdyby ta pewność miała być zawiedzioną, gdyby to „dziś“ upłynąć miało nadaremnie, następstwa takiego zawodu mogłyby być i byłyby zapewne zabójczemi dla osiemdziesię-

cioletniego starca. Z lekarskiego rzecz biorąc stanowiska, pewność ta była początkiem majaczenia, które w razie zawodu, musiałoby się skończyć obłąkaniem. Rotmistrz zbyt silnie, zbyt chorobliwie wierzył, że się jego przeczucie zjiści, i zbyt świeżo odzyskał te trochę sił, które go utrzymywały na nogach, żeby mógł heroicznie przenieść cios najboleśniejszy, żeby mógł nawet uwierzyć, iż się pomylił. Gdyby uwierzył, że noc już nadeszła i że jego Kostusi, jego ukochanego dziecięcia nie ma jeszcze przy nim, przypłaciłby rozczarowanie śmiertelne w jego wieku recydywą. Prawdopobnie jednak stałoby się inaczej. Stargałyby się wątłe nici skołatanego chorobą umysłu i starzec nie dałby się pokonać oczywistości. Zdawałoby mu się, że ma przy sobie swoją wnuczkę, pieściłby się jej cieniem, rozmawiał z jej nieistniejącem widmem i przeszedłby już za życia w krainę duchów i mar, albo też byłby przekonany, że „dziś“ nie skończyło się jeszcze, że każdy szelest zwiastować mu ją może, że ją za każdem uchyleniem się drzwi zobaczy, a gdyby przybyła nawet, byłoby już zapóźno, gdyż nie byłby już zdolnym poznać jej i uwierzyć w jej obecność, skazany na oczekiwanie aż do grobu.

Tak sobie stan chorego przedstawił lekarz, gdy gospodyni zatrwożona tonem nieomylnej pewności, z jaką rotmistrz wypowiadał swoje przeczucie, pospieszyła dać mu znać o tej zmianie w usposobieniu chorego. Poszedł on zaraz do swego pacyenta, i przekonał się naocznie o prawdziwości swojej psychjatrycznej djagnozy.

Staruszek przywitał go rozpromieniony, rozgorączkowany, co wszystko tylko przypuszczenia i obawy lekarza stwierdzić mogło. Mówił ciągle o niezawodnym przyjeździe wnuczki, żadnym sposobem od tego przedmiotu rozmowy odwieść się nie dawał, gdy doktor poważył się zrobić ostrożną uwagę, że Konstancya może nie dziś, lecz dopiero nazajutrz może przyjechać, przyjął tę uwagę z oburzeniem, świadczącem, że ta myśl nieodstępna już się w jego przekonaniach niczem zmodyfikować i zastąpić nie da.

— At! prawicie od rzeczy, Piotrze Andrejewiczu! — zawołał — gdzieżby ona dziś przyjechać nie miała?... to się nawet pomyśleć nie da... Wolno wątpić o wszystkiem. Oto słuchajcie.. pst!...

To mówiąc gestem nakazał milczenie doktorowi i wsłuchiwał się tak jak niegdyś w odgłos dzwonka pocztowego.

Doktor nie słyszał najmniejszego szmeru w oddali, starcowi jednak grały w uszach jakieś tajemnicze szelesty.

— Nie... to jeszcze nie ona — rzekł.

Piotr Andrejewicz patrzył na niego z współczuciem, ale już oponować nie próbował. Przekonał się, że to nie doprowadzi do niczego.

Spytał się tylko, zkąd rotmistrz wie tak napewne, że stać się musi to, czego pragnął i co przewidywał.

— Zachciałeś! zkąd? — odparł starzec — a zkąd wiedziałem na tydzień przed tem dzień i godzinę, w której mnie tu na Sybir wywiozą?... zkąd przeczułem dzień śmierci mojej córki?... kto mi naprzód powiedział, gdym miał owdowieć, że owdowieję za trzy dni, chociaż żona moja, Panie świeć nad jej duszą, była podówczas zdrowa i prędzej o wszystkich przyjemnościach życia, niż o śmierci myśleć była powinna... Ja tego nie wiem znikąd, ja to widzę wzrokiem mej duszy... Kostusia moja już dojeżdża... ot, słuchaj... psst... nie... to nie ona jeszcze... Co do ciebie, mój Piotrze Andrejewiczu, to ja nawet nie pojmuję, jak można w rzecz tak rzeczywistą nie wierzyć... Przecież ja dzisiaj kończę osiemdziesiąt lat, gdzieżby mi wnuczka moja pomódz nie miała do dźwignięcia dziewiątego krzyżyka, który się wali na me barki?

Lekarz w lot pochwycił sposobność do skierowania rozmowy na inny przedmiot. Urodziny, zaczął zatem winszować, była to jednak próba daremna.

Rotmistrz mu przerwał:

— Dosyć, dosyć, Pawle Andrejewiczu, nie teraz jeszcze... nie zasiada się do stołu, dopóki goście zaproszeni i oczekiwani nie przybyli... Ot... słuchaj...

I znowu słuch zatopił w oddalonych szmerach, które niepochwytne dla innych ludzi, do jego tylko ucha dobiegały w tym dniu.

Bóg nie chciał, żeby oczekiwania starca miały doznać zawodu, — wiemy już, że Konstancya przyjechała tego samego dnia.

Rotmistrz był ocalony, przytulił ją do swego łona, ożył — ona wpatrywała się w jego twarz i oblewała łzami długą, białą jak mleko brodę, która mu na wygnaniu porosła.

— Wiedziałem, że dzisiaj przyjedziesz dziecko moje — mówił do niej.

— A ja wiedziałam, że cię zdrowym zastanę — odrzekła — chociaż mnie przestraszyłeś tą sztafetą...

— Nastraszyłem ciebie... ciebie tylko?... a on?...

— Jego nie było...

— Prawda... teraz tam u nas nie takie czasy, żeby mężczyźni w domu siedzieli... Był więc w obozie?...

— Już nie...

— Przestraszasz mnie dziewczyno... powiedzże mi, że nie ja jeden pozostałem na świecie...

— Wyparto ich za granicę... jest w niewoli... jest...

Tu Konstancya przerwała sobie, jakby przypominając, że z wymówieniem następnego wyrazu spieszyć się nie powinna.

— Milczysz... spuszczasz oczy... taisz przedemną... biedne dziecko... ciebie musiało spotkać jakieś nieszczęście...

— Jest raniony...

— W austryjackiej niewoli!... raniony!... — powtórzył smutnie starzec — starałaś się z nim widzieć?...

— Nie mogłam... wiadomość o tem przyszła do mnie jednocześnie z wiadomością od ciebie... powinnam była spieszyć tutaj...

— Dziecko jesteś... przysięgłaś mężowi, nie powinnaś go była dla mnie poświęcać...

— Niedobry jesteś, że mi to chcesz ganić, dziaduniu... Ale ja wiem, że ty sam czujesz, żem to zrobiła com była powinna.

Rotmistrz patrzył na wnuczkę w milczeniu, ale spojrzenie jego było dosyć wymowne, ażeby Konstancya wątpić nie potrzebowała, że aprobował jej postępowanie i był z niej dumny.

Objęła go rękami, ucałowała i rzekła:

— A widzisz dziadku, że mnie już nie łajesz, bo nie było za co łajać twojej Kostusi. Wiem ja i teraz co mam robić, nie badaj mnie tylko i niczego mi nie gań, mój dziaduniu, a nie dziw się, że choć tu jestem, nie będę ciągle przy tobie, że się tylko trochę z tobą popieszczę, i na godzinkę pozostawię samego, potem powrócę i uściskam i znów za interesami memi pobiegnę, bo ja mam dużo, bardzo dużo interesów w tem miasteczku.

Rzeczywiście po godzinnej rozmowie, po opowiedzeniu rotmistrzowi wszystkiego, co mu opowiedzieć było można, o losach, jakie przebyła od chwili rozstania się z nim i o przebiegu sprawy narodowej, po pierwszem nacieszeniu się wzajemnym widokiem, Konstancya pożegnała się z dziadkiem, mówiąc, że za interesami swojemi spieszy i rozpytawszy się gospodyni, gdzie mieszka doktor, który leczył rotmistrza, pobiegła prosto do niego.

Wieść o jej przyjeździe oddawna się już po miasteczku rozeszła; Piotr Andrejewicz więc wiedział kogo przyjmuje.

— Przyszłam panu podziękować za starania, jakiemi otaczałeś mojego dziadka.

Lekarz zaczął się wypraszać od podziękowań w sposób tak naturalny i serdeczny, że Konstancya musiała zmienić przedmiot rozmowy, ażeby mu nie robić przykrości.

— I zarazem — dodała — przyszłam pana zapytać, czy nie byłoby to narażeniem życia mojego dziadka, gdyby miał teraz odbyć długą podróż?...

— Pod opieką osoby kochającej i troskliwej, a chcącej pamiętać o radach, jakiebym jej udzielił, nie przedstawiałoby to żadnego niebezpieczeństwa.

— Wracasz mi pan życie, doktorze — zawołała Konstancya rozpromieniona.

— Jakto? więc rotmistrz...

— Ma być wolny!... tak jest, ma być wolny.... ale sza! cicho! na miłość boską, ani słowa o tem jeszcze, doktorze. Tę wiadomość może on tylko odemnie usłyszeć, inaczej zabiłaby go, pojmujesz pan... cały czas, który tu przeżył, zostawał pod wpływem przekonania, że już nigdy ojczyzny nie zobaczy, a pan wiesz co to znaczy miłość ojczyzny!.... Przybyłam tutaj, ażeby go uprzedzić, że dzięki staraniom naszym za parę dni zostanie uwolnionym, i ażeby wszystko tak przygotować, żeby zaraz po nadejściu uwolnienia mógł odjechać.

Mówiła to tak naturalnie i swobodnie, że doktorowi ani przez myśl przejść nie mogło przypuszczenie, że to wszystko było tylko wymysłem, konspiratorską sztuczką, mającą na celu wykradzenie jeńca z niewoli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Opowiadanie podróżnego

W sali znajdowało się kilkunastu mężczyzn, rozmawiających z wielkiem ożywieniem. Nieco na boku przy małym stoliku, siedział jakiś nieznajomy, zajęty czytaniem gazety, i na tego zwrócił Byrd natychmiast całą swoją uwagę. Piękna postać czytającego, jego twarz ładna, chociaż blada i świadcząca o burzliwem życiu, jasne bujne włosy, i wytworne ubranie, wszystko to podpadło każdemu na pierwszy rzut oka. Na rozmowę obecnych gości zdawał się wcale nie zważać, czoło jego było lekko zmarszczone, a oczy nie podnosiły się ani na chwilę z gazety.

Goście, których Byrd już po części znał, nie przerywali zaczętej rozmowy.

— Więc opowiedz pan nam tę scenę — zawołał teraz jeden z starszych mężczyzn, zwracając się do jakiegoś młodego bruneta, który widocznie niedawno tu przybył.

Zapewniam was, mości panowie — odrzekł brunet, że to było jak w teatrze. Dramat, co się zowie! Nie widziałem jeszcze coś podobnie efektownego. Ona piękna, wyniosła, jak królowa, on ponury, zasępiony, oboje zaś przerażeni i zrozpaczeni. Weszli z dwóch przeciwnych stron sali i na środku spotkali się, — Ty tutaj? zawołała ona drżącym głosem zakrywając twarz rękami, jak gdyby widmo ujrzała. — Ty tutaj? — krzyknął on równocześnie, i stanął skamieniały. Czy chciałeś się ze mną widzieć? szepnęła ona po chwili, drżąc z wzruszenia. Byłaś na drodze do mnie? rzekł on z wyrazem strasznej męczarni wewnętrznej. Potem milczeli oboje, spojrzeli na siebie, i każde z nich w inną odwróciło się stronę. Po chwili już ich w sali nie było. Scena ta wielkie na obecnych wywarła wrażenie, wszyscy patrzeli zdumieni na drzwi, za któremi znikła ta dziwna para i myśleli sobie pewnie, że czegoś podobnego tak prędko nie zobaczą. Kto wie, jaka smutna historya była powodem takiego powitania się i pożegnania tych dwojga.

— I co się z nimi stało? Nie widziałeś pan ich już więcej? zapytał jeden z ciekawych słuchaczy.

— Owa młoda dziewczyna jechała razem ze mną, to jest, ona siedziała w innym wagonie, ale spotkałem ją na peronie, wsiadając, on zaś odjechał w przeciwną stronę.

— I na jakiej stacyi wysiadła?

— Nie wiem. Zdawała się być pogrążoną w strasznej rozpaczy, i nie chcąc zapewne, aby ją kto obserwował, zasłoniła twarz woalką. Uszanowałem jej smutek i jechałem w oddziele dla palących, czułem bowiem, że obecność moja byłaby jej przykrość sprawiła.

Zwolna porozchodzili się panowie i Byrd został sam przy stole z owym brunetem.

— Szkoda — rzekł dosyć obojętnie, że ja nie byłem w miejscu pana. Byłbym zaraz odrysował ową scenę dla mego żurnala.

— To pan rysujesz dla żurnala? zapytał brunet zdziwiony.

Tak, czasem!

— Musi to być przyjemne zajęcie, jeżeli ktoś ma talent do tego.

Byrd mówił prawdę. Zarabiał sobie dawniej już trochę pieniędzy rysowaniem, a miał rzeczywiście pewien talent do tego, mianowicie do szkicowania twarzy. Teraz wyjął notes z kieszeni i wydarł jedną kartkę.

— Tak pan żywo opowiedziałeś tę scenę — rzekł uprzejmie, że mógłbym wszystko odrysować dokładnie. Na jakiejże to stacyi było? dodał niedbale!

— W Syrakuzie — odparł brunet, patrząc z zajęciem na linie, jakie Byrd zaczął kreślić.

— Jak ubrana była ta młoda dziewczyna?

— Miała suknią ciemno granatową i popielaty płaszczyk. Prześliczna postać, wysoka, wysmukła, jednem słowem, piękna. Ah, doprawdy, widzę już pewne podobieństwo! Jak wybornie pan rysujesz! Czarny kapelusz z dwoma piórami, torebka podróżna. A twarz! Wielkie czarne oczy, małe czerwone usta.... Ależ pan jesteś czarodziejem! Uderzające podobieństwo!

Pochwała młodego bruneta zadowoliła niezmiernie Birda. Zarumienił się nawet z radości, pochylił głowę niżej nad swoim rysunkiem.

— A teraz narysuję owego mężczyznę, rzekł po chwili. Jak on wyglądał? Młody, stary!

— Mniej więcej trzydziestoletni, wysoki, silnie zbudowany i przystojny. Twarz wyrazista, błyszczące oczy, i mały jasny wąs. Pokaż pan, zobaczę, czy trafiłeś go równie dobrze!

Ale tym razem nie była to łatwa sprawa, i Byrd długo masiał rysunek poprawiać, zanim nareszcie zadawolnił chociaż w części bruneta. Twarz była raz za długa, to znowu za szeroka, i dopiero kędziory spadające na czoło, nadały rysunkowi pewne podobieństwo do oryginału.

Byrd pragnął się dowiedzieć nie tyle o rysach twarzy owego mężczyzny, ile o ubraniu i postaci jego. Szkic musiał jednak być dobrym, bo młody brunet nie mógł się wydziwić zręczności artysty.

Chwilę jeszcze trwała rozmowa obydwóch, przyczem Byrd nieustannie obserwował samotnego gościa, czytającego ciągle jeszcze gazetę. A gdy nareszcie pożegnał bruneta, przeszedł koło sąsiedniego stolika i ciekawie spojrzał na ową gazetę. Była to ostatnia strona „Herolda“.

— Dziwna rzecz, pomyślał, on nie czytał wcale, tylko słuchał naszej rozmowy, albo zajmował się swemi myślami, które nie mogą być przyjemne. Anonsów nikt przez dwie godziny nie czyta.

Przybywszy do swego pokoju, wyjął rysunek z kieszeni i patrzał na niego długo i uważnie. Twarz Iwony musiała się jednak głęboko wyryć w jego pamięci, inaczej nie mógłby tak wybornie odrysować.

Więc owa scena na sali poczekalnej w Syrakuzie spowodowała jej prędki powrót, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Ale co to wszystko miało znaczyć? Kto był ów mężczyzna, którego szukała, a przed którym uciekła? Czemu oboje byli w takiej rozpaczy, gdy się niespodziewanie spotkali? Przecież jedno chciało widocznie jechać do drugiego.

Lecz cóż go zresztą interesowało! Wszakże miasto opuści na zawsze, najlepiej więc, że zapomni o wszystkiem. Szkicu jednak nie zniszczył, i jako pamiątkę, schował go starannie do swego notesu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Emilia Firmin.

Gdy się Byrd nazajutrz rano obudził, nie wiedział, czy mu się śniło, czy też słowa, które mu jeszcze brzmiały w uszach były rzeczywiście wymówione wczoraj, późno w nocy, przed drzwiami jego pokoju. Rozróżnił przecież zupełnie wyraźnie głos hotelisty, który prowadząc przez kurytarz gościa, wyrzekł dosyć głośno:

— Cieszę się, że znowu pana widzę u siebie! Dziwisz się pan zapewne, że morderstwo zostało popełnione bezpośrednio po ostatniej pana bytności. Tajemniczy wypadek. Może pan przybyłeś, aby dać sędziemu jakie wyjaśnienie.

Jeżeli słowa te słyszał, to mogły one być zwrócone tylko do owego jasnowłosego mężczyzny, czytającego wczoraj gazetę z pozornem zajęciem. I kto wie, może hotelista był owym głównym świadkiem, o którego coronerowi tak bardzo chodziło. Ale nie, to wszystko było snem, sprawa morderstwa tak go zajęła, że już nawet śnił o tem.

Wątpliwości jego nie trwały tym razem długo, bo ledwie skończył się ubierać, gdy doktor Tredwell wbiegł do jego pokoju z listem w ręku i uśmiechem na ustach.

— Otóż list od inspektora — zawołał wesoło. Detektiw, który przed godziną przybył, wręczył mi go.

Byrd wziął podaną sobie ćwiartkę i przeczytał co następuje:

— Łaskawy Panie!

Detektiw, którego posyłamy, jest bardzo dzielny i może się podjąć każdego trudnego zadania. Chcielibyśmy, abyś pan zadowolił się jego tylko pomocą, gdyby jednak Byrd uznał za potrzebne zostać tam, w takim razie udzielamy mu chętnie pozwolenia na dłuższy pobyt w Sibley. Żądamy wszakże stanowczo, aby nikt niepowołany nie dowiedział się, że on jest policyantem.

— Widzisz pan — rzekł coroner, że możesz sam rozstrzygnąć, czy chcesz mi pomódz, czy wrócić do Nowego-Yorku. Od ciebie jedynie zależy.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem...

— Poczekaj pan! Zobaczymy jaki będzie rezultat dzisiejszego posiedzenia. Cokolwiek bądź pan postanowisz, zechciej mnie zaraz o tem uwiadomić.

Byrd został sam, nie wiedząc rzeczywiście, jak mu postąpić należy. Chciał uniknąć tej sprawy, a pomimo to cieszył się, że w danym razie może tu zostać.

— Zostanę — rzekł w końcu. Przeznaczenie chce tego widocznie.

Do południa miał jeszcze zajęcie na sądzie w sprawie Ferrisa, zaledwie jednak ukończył wszystko, udał się natychmiast do domu pani Klimmer, gdzie coroner na dobre rozpoczął swoją czynność. Pokoje tak były przepełnione ciekawymi, że Byrd daremnie usiłował dostać się do wnętrza domu, że zaś w pokoikach ogromne panowało gorąco, przeto otworzono okna. Byrd postanowił więc stanąć przy otwartem oknie i ztamtąd przysłuchiwać się badaniom coronera. Chcąc widzieć świadków, wezwanych na przesłuchanie, potrzebował tylko wyciągnąć trochę szyję, stał bowiem na nizkiej, kamiennej ławce. Nie trwało długo, a wkoło niego zgromadziło się znowu mnóstwo widzów, popychających go na wszystkie strony, tak, że o mało z ławki nie spadł. Ale nic nie zdołało go oddalić z korzystnego stanowiska.

Jeden z świadków odszedł właśnie i coroner zabrał teraz głos.

— Moi panowie, rzekł głośno i dobitnie, dotychczas przesłuchiwaliśmy mieszkańców tej ulicy, aby się dowiedzieć, kto mógł ową żywą z panią Klimmer prowadzić rozmowę, o której nam handlarz wspominał.

Pomiędzy słuchaczami, stojącymi przed oknem Byrda, powstało w tej chwili pewne zamięszanie. Co było powodem tego, nie mógł Byrd dojrzeć, zauważył tylko, że oczy wszystkich zwróciły się ku otwartym drzwiom siennym, przy których stał jakiś wysoki, silny mężczyzna, o bladej twarzy. Pomimo niepokoju, jaki słowa coronera wywołały u obecnych, zdawał się ów nieznajomy zupełnie być obojętnym.

— Nasze usiłowania w tym kierunku, — mówił doktor dalej, — pozostały, jak wiadomo, dotąd bezskutecznemi. Nikt nie może nam powiedzieć, kto owego dnia był w mieszkaniu pani Klimmer. Zamierzam przeto stawić inne pytanie, które może prędzej zagadkę tę rozwiąże. Panno Firmin, proszę o zeznanie tego, co pani jest wiadomem.

W tejże chwili podniosła się z krzesła kobieta już nie młoda, skromnie, ale porządnie ubrana, o twarzy bardzo sympatycznej. Spokojnie i śmiało stanęła przed coronerem, czekając jego badania.

— Imię i nazwisko?

— Emilja Katarzyna Firmin!

Gdy Byrd usłyszał jej imię, pomyślał natychmiast o niedokończonym liście zamordowanej.

— Miejsce urodzenia i obecnego mieszkania?

— Urodziłam się w Damburg, i mieszkam teraz z matką w Utika. Jestem krawczką.

Jak pani jesteś spokrewnioną z panią Klimmer?

Nasze babki były siostrami.

— Żyłaś pani z nią w przyjaźni i możesz nam opowiedzieć bliższe szczegóły o innych jej krewnych lub znajomych?

— Od lat dziecięcych żyłyśmy w wielkiej przyjaźni. Krewnymi jej są moja matka i ja, i syn jej brata. Tego siostrzeńca kochała bardzo, dawała mu pieniądze i mówiła często, że zapisze mu cały swój majątek.

— Jak się nazywa ten siostrzeniec? Gdzie mieszka?

— Nazwisko jego jest Mansel, Eryk Mansel, mieszka zaś w Buffalo, gdzie ma miejsce kasjera w wielkiej fabryce papieru, Harrisona i Godmana.

Byrd zadrżał mimowoli, gdy usłyszał, że ów młody człowiek mieszka w Buffalo, Z natężoną ciekawością słuchał dalszego opowiadania Emilji Firman.

— Znasz pani tego siostrzeńca? — pytał coroner dalej.

— Owszem. W ostatnich pięciu latach bywał często u nas!

— Możesz nam pani powiedzieć, jak był usposobionym względem ciotki, której miał być spadkobiercą.

Jaki jest jego charakter, jakie usposobienie?

— Eryk Mansel jest poważnym i zamkniętym w sobie, tak, że nie łatwo poznać jego charakter. Ale uważałam go zawsze i uważam za człowieka szlachetnego, pilnego i zdolnego, który z pewnością dorobi się wyższego w świecie stanowiska. Ciotce musiał naturalnie być bardzo wdzięcznym za okazywaną mu życzliwość, chociaż czułości okazywać nie umie.

— Ale pani sądzisz, że nie pragnął znowu tak bardzo majątku ciotki, że szczęście jego nie zależało od tych pieniędzy? I nie był wrogo dla niej usposobionym?

— O nie! Często wprawdzie byli odmiennego zdania, ale pomimo to kochali się serdecznie. O jego zamiarach na przyszłość nic nie słyszałam, nie uważał pewnie za potrzebne mówić o tem. Jest on ogromnie samodzielny i stanowczy!

Byrdowi przyszedł na myśl szkic mężczyzny, narysowany wczoraj podług wskazówek młodego podróżnego; ów siostrzeniec zaczął go bardzo interesować i byłby chętnie dowiedział się o nim bliższych jeszcze szczegółów. Ale coroner zwrócił badanie na inne pole.

— Więc jeżeli pani, — zaczął po chwili, — znałaś dobrze panią Klimmer, to byłaś też powiernicą jej kłopotów i trosk, nieprawdaż?

— Tak, to jest o tyle, o ile kuzynka moja wogóle się zwierzała. Nie skarżyła się ona często, nie lubiła wogóle mówić o sobie. Ale powtarzała kilkakrotnie, że ja jestem jedyną na świecie osobą, do której ma zaufanie.

— Powiedz pani, dlaczego pani Klimmer żyła w takiem odosobnieniu się od ludzi?

— Historja jej życia bardzo jest zwyczajną ale czemu odsunęła się całkiem od świata, tego doprawdy nie wiem. Będąc panną lubiła się bawić i była wesołą.

— Czy może jaki tajemny, ciężki smutek zatruł jej życie?

— Chyba śmierć męża napełniła ją taką rozpaczą. Bo rzeczywiście od czasu jego śmierci zmieniła się bardzo.

—Kiedy on umarł?

— Przed mniej więcej piętnastu laty.

— Znałaś go pani?

— Nie, ślub ich odbył się w jakiejś małej miejscowości na Wschodzie, a on umarł kilka tygodni później. Moja kuzynka była niepocieszona, obawialiśmy się o nią i chcieliśmy ją mieć w blizkości, ale ona nie zgodziła się na nasze propozycye. Po ośmiu albo dziewięciu latach wybrała się na Zachód i zamieszkała tu, w Sibley.

— Panno Firmin, — rzekł teraz coroner uroczyście, — nie przyszło ci nigdy na myśl, że kuzynka pani żyła w takiej samotności z obawy przed kimś?

Panna Firmin zdumiona, spojrzała na niego, w tłumie zaś znowu jakieś powstało zamieszanie. Tym razem powstało to ztąd, że stojący przy drzwiach mężczyzna posunął się nieco naprzód i popchnął jakąś kobietę. Z drugiej zaś strony ukazał się inny mężczyzna, którego Byrd także jeszcze poprzednio nie widział.

— Powiedz pani, mówił coroner dalej, czy nie znasz nikogo oprócz Eryka Mansela, komu śmierć pani Klimmer mogłaby być pożądaną?

Masz pan zapewne na myśli młodego Hildreta, zawołała panna Firmin bez namysłu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stare a nowe.

Harmonią-ś Boże! i świat harmonii
Stworzyłeś sobie, struny Twej chwały
Spoczęły świata narodom w dłoni,
By w jeden wieczny akord Ci brzmiały!

Kto głosu Twego dosłyszał Panie,
Błogo mu, błogo — z Twą struną złotą
Wieńcem się przed nim cuda rozplotą —
Na czele Twoich wybranych stanie!

Ale świat swoją stąpa koleją —
Głos Twój przygłuszył brzękiem mamony,
Wzrok swój przyoblekł w grube zasłony,
By snać nie przejrzał, gdzie zorze dnieją!...

I wstają ludy, krwi, rządów chciwe,
A w świętej dla Cię pracy leniwe,
I w dumie swojej już gardzą Tobą;
Kędy gorzała miłość Twa święta,
Nienawiść szczepią, kowają pęta —
Ślady swe znaczą krwią i żałobą.
Lecz ręka Twoja odwiecznym planem
Spoczęła silna nad teorbanem —
Niesforne struny z lutni pozrywa;
A ton, co zamilkł — Tobie cud cudów
Harmonią świata wyśpiewa.

Bo jedna wiecznie kolej na świecie:
Królestwo Boże zwyciężyć musi;
I nie ten ludzkość dźwignie na grzbiecie,
Co się o ziemskie berło pokusi;
Lecz kto w pokorze, w miłości Bożej,
Swobodę bratnią dłonią podaje,
Chociaż się nad nim szatan rozsroży,
W jaśniejszej szacie z męczeństw powstaje —
A wrogich potęg runą filary,
I nowem światłem błyśnie świat stary!

* * *

Biegną po bojach — patrz! Rzymian tłumy
Do Kartaginy — nad Kartaginą
Krwawym strumieniem płomienie płyną —
Święta ofiara żądzy i dumy!...
Zostały zgliszcza i poszły marno
Swobody ludów, ale w tej chwili
Anieli Boży z nieba zstąpili
Z ostatków zbierać na przyszłość ziarno!

Ciemięzco świata! tryumfatorze!
Dokądżeś gwałtów nie syty Rzymie?!
Biada ci, biada — na twe doliny
Zabieży kiedyś młot Kartaginy:
Genzeryk domy twoje rozorze
I brodzić będzie we krwi i dymie!

Biada ci, biada! — dłońmi świętemi
Rozpięty Chrystus przemoże Ciebie,
Skruszy potęgę twoją na ziemi,
Chwałę twą dawną w gruzach zagrzebie,
A wzniesie na nich tron swojej chwały —
Stolicę prawdy, co w lat kolei
Światłem, miłością zbawi świat cały,
A słabym błyśnie gwiazdą nadziei!

* * *

O Polsko moja! i Ciebie gnębi
Potężnych wrogów przemoc wiekowa!
Lecz póki w serca twojego głębi
Tli wiara, miłość — moc Chrystusowa:
Nie zmogą Ciebie wrogów twych siły —
Korona z cierni spadnie z twej skroni,
Pan Cię do życia wzbudzi z mogiły
I znów Ci berło poda do dłoni;
I błyśniesz światu, jak gwiazda nowa
Mądrością wielką, w grobie poczętą,
Nie ziemską, Bożą — wieczną i świętą!

Wincenty Stroka.

Burza.

NOWELA.

Szukając najbliższej drogi do willi, zamieszkanej przez trzy znajome boginie, zabłądziłem w rzadkim sosnowym lasku podmiejskim tak zupełnie, jak gdyby to była co najmniej jaka dziewicza puszcza amerykańska. Grozę położenia zwiększała jeszcze ta okoliczność, że musiało właśnie zanosić się na burzę, gdyż było niezmiernie gorąco, a cały las na wskroś przeniknięty został jakąś posępną, złowróżbną szarością i zachowywał wciąż pełne powagi milczenie. Lada chwila można było oczekiwać ulewnego deszczu.

Nie uśmiechało mi się wcale takie błądzenie po lesie w pojedynkę; przywoławszy zatem do pomocy cały swój zmysł oryentacyjny, obrałem nareszcie kierunek i puściłem się naprzód pełen otuchy. Tymczasem ściemniło się jeszcze bardziej i — na twarzy uczułem pierwsze krople deszczu. Zaszumiało w lesie, zaśpiewało. Po wierzchołkach chudych sosenek i zielonych rozłożystych leszczyn przeleciał pierwszy nagły powiew wiatru i rozszeptał, rozdźwięczył wszystkie liście, wszystkie gałązki chciwie nadstawiające drżące ramiona pod tę miękką, lecz silną pieszczotę. Duże, ciężkie krople deszczu poczęły spadać rytmicznie, jedna za drugą, rozpryskując się o szerokie liście i drobne szpilki sosnowe, i znikając bez śladu w suchem igliwiu, zaścielającem dno lasku. Przyśpieszyłem kroku w obawie zmoknięcia, gdy nagle tuż nademną rozległ się taki przeraźliwy trzask, żem natychmiast stanął jak wryty. Piorun!... Upłynęła chwila, zanim ochłonąłem cokolwiek. Spróbowałem poruszyć rękę jedną i drugą, potem to samo zrobiłem z nogami: wszystko funkcyonowało jaknajlepiej. Powiedziałem głośno kilka wyrazów, słyszałem również dobrze. Wówczas zerwałem się szybko i pogalopowałem na oślep przed siebie, niepomny niebezpieczeństwa, na jakie się narażałem. Co tam! zginąć raczej, aniżeli zmoknąć!

Po paru minutach takiej szalonej galopady, spotkałem wysoki, misterny parkan. Furtka, naturalnie, była zamknięta. Poszedłem teraz szybkim krokiem wzdłuż niezmiernej linii parkanów, złożonych z krzyżyków, gwiazdek, kółek, zygzaków. Wszystko to mnie niecierpliwiło. To też z uczuciem nietajonej ulgi westchnąłem, ujrzawszy, iż las się kończy.

Po przez cienkie pniaki suchotniczych sosenek przeglądała rozległa, jasna polana, zabudowana mnóstwem poetycznych domków, tonących w zieloności ogrodów.

Znałem doskonale tę polanę. Tu, nieco na prawo od lasku, z którego wyszedłem, na skrzyżowaniu dróg rozstajnych, mieściła się wcale znośna restauracya, będąca znakomitem miejscem schadzek.

Nie zwracałem już zatem na to uwagi, że deszcz, właściwie mówiąc, przestał padać i nawet słońce wyglądało kiedyniekiedy figlarnie z po za gęstych jeszcze chmur, ale podążyłem raźnie w tym kierunku, gdzie spodziewałem się odpocząć i pokrzepić siły, i gdzie nawet mogłem spotkać kogo ze znajomych.

Po drodze mijałem całe gromadki majówkowiczów, którzy widocznie zdążyli na czas ukryć się pod dachem, gdyż nawet nie byli zmoknięci, a humory mieli wyśmienite.

Wchodząc do restauracyi spostrzegłem przelotem, że na werandzie było zaledwie paru maruderów, a i na sali pod dachem nie było już tłumów. Zauważyłem dwóch zziajanych, zaczerwienionych cyklistów i jakąś poważną damę ze strasznie długim nosem i dwiema równie uroczemi córeczkami.

Całą jednak uwagę moją zwróciła wkrótce na siebie młoda para, siedząca w kącie sali, tuż pod oknem: on, nieduży, szczupły brunecik, gładząc miękkim ruchem starannie utrzymaną bródkę, siedział w złowrogiem milczeniu i wpatrywał się wzrokiem, pełnym piorunów, w pulchną i świeżą blondynkę, która, spuściwszy ku ziemi oczy, pełne łez, rumieniła się i bladła naprzemian.

Zajęła mnie bardzo ta para, to też pokręciwszy się dla przyzwoitości po sali usiadłem obok nich, tuż za jego krzesełkiem, i kazałem dać sobie podwieczorek. Ponieważ odwrócony byłem do nich plecami, więc nie mogli podejrzewać mnie o niewłaściwą w takiej chwili ciekawość, i wkrótce wrócili do przerwanej widać niedawno rozmowy.

Mówili o — rozwodzie!

Nie przestając pokrzepiać strudzonych sił, nastawiłem chciwe uszy ku słuchaniu i po pewnym czasie takem się oswoił z ich półgłośnym szeptem, że słyszałem już wszystko.

— Po tem co zaszło, uważam rozwód za prostą konieczność — mówił posępnym basem brunecik. — Chociaż przyznaję, że jest to dla mnie bardzo przykra niespodzianka. Nigdy nie przeceniałem kobiet, ani nie uważałem ich za aniołów, ale zdawało mi się, że wzgląd na samą przyzwoitość uchronić je może nieraz od nadzwyczajnych wybryków.

— Mówiłam ci już, Ludwiczku... — zaczęła miękkim tonem oskarżona.

— Więc cóż z tego, żeś mówiła? — wybuchnął małżonek. — Mam ci może zaraz uwierzyć? Niedługo byś mi kazała listy do niego nosić.... Takieście wszystkie. Znam ja was! We dwa miesiące po ślubie już zdradzacie!

— Ależ, Ludwiczku jeszcze kto usłyszy!

— Jakto! Więc ośmielisz się może zaprzeczyć? Przecież widziałem sam, na swoje własne oczy, jakeś mu się rzuciła na szyję....

— Mój drogi, wiesz dobrze, jak okropnie boję się piorunów. Sama nie wiem, co się ze mną wtedy dzieje. Zupełnie tracę przytomność.

— Tak, tak, tracisz przytomność, kiedy ci z tem dobrze.

— Byłam zresztą pewna, że to ty stoisz przy mnie. Nawet brodę miał ten pan zupełnie taką samą, jak i ty.

— Broda nie decyduje jeszcze o człowieku — mruknął nieugięty małżonek.

— Ależ i ja wiem o tem — odparła z całą naiwnością. — Tylko, kiedy ten piorun trzasnął tak przeraźliwie, zrobiło mi się nagle tak słabo, tak słabo... Ja sama nie wiem, jak się to wszystko stało.

— Widzisz mój Ludwiczku — zaczęła po chwili z większem ożywieniem,

gdybyś ty się nie był gdzieś zgubił, jak na złość, w najstraszniejszej chwili, toby nie było tego wszystkiego. Powinieneś pamiętać odtąd, ażeby być zawsze przy mnie — podczas burzy.

Zapanowało chwilowe milczenie. Nagle mąż przysunął z hałasem krzesło do stolika i, nachyliwszy się, rzekł szeptem:

— Powiedz mi, ale szczerą prawdę. Tyś go niezawodnie musiała pocałować?

— Ależ co ci do głowy przychodzi! żachnęła się niecierpliwie blondynka. — Przecież on był tak wysoki, żebym nawet nie dostała. On był znacznie wyższy od ciebie. Sameś widział.

— No, ale on to ciebie mógł swobodnie pocałować. Jemu wzrost nie przeszkadzał.

— On!?

Tu głos jej załamał się tak dziwnie, żem nie wytrzymał i obejrzałem się po za siebie. Młoda osóbka ocierała jeszcze załzawione oczy rożkiem chusteczki, ale jednocześnie błyszczały już w tych dobrych niebieskich oczętach jakieś jasne iskierki, a na twarzy wykwitał figlarny uśmiech.

— On? — zawołała nagle, nie mogąc pohamować ogarniającej ją szybko wesołości. — Czy ty wiesz, Ludwiczku, że on się przeraził więcej jeszcze odemnie.... Kapelusz mu spadł, a oczy!.... Jakie on miał oczy!... Jakgdyby śmierć ujrzał przed sobą! Gdybyś ty był widział jego minę, do łez byś się teraz śmiał...

Tu wybuchnęła takim szczerym, srebrzystym śmiechem, że nawet martwe kamienie musiałyby uwierzyć w prawdziwość jej opowiadania. Ale małżonek naturalnie nie uwierzył.

— Chciałabyś teraz wszystko w żart obrócić, ale to ci się nie uda — mruczał ze złością. — Za stary ze mnie wróbel, Znam ja wasze wybiegi. Pewnieście sobie dali schadzkę, a on teraz czeka gdzie w lesie.

— Wstydziłbyś się mówić takie rzeczy — odparła z mocą. — Ten pan jak pobiegł za kapeluszem, który mu wiatr porwał, tak się już więcej nie pokazał. Jestem pewna, że pierwszym pociągiem powrócił do Poznania.

— No, to się może tam spotkacie.

Ten mąż zaczął mi działać na nerwy. Wstałem szybko, zapłaciłem przy bufecie należność i skierowałem się ku wyjściu. Ode drzwi raz jeszcze spojrzałem na nieszczęśliwą parę: brunecik, pochyliwszy głowę, myślał głęboko, a ona mnąc chusteczkę w ręce, patrzała na niego wzrokiem, który zdawał się mówić: nie wiedziałam, żeś taki ograniczony.

Na dworze było świeże i jędrne powietrze, jak to zwykle po burzy. Stronami musiał jeszcze padać deszcz, bo widać było na tle białych obłoków długie, ciemne smugi i dalekie grzmoty rozlegały się kiedy niekiedy z jakimś głuchym, przeciągłym łoskotem.

Szedłem powoli dróżką pod lasem, pieszcząc wzrok cudną harmonią barw i blasków, jakie wytwarzała świeża zieloność ogrodów, rozciągających się po przeciwległej stronie drogi. Było mi tak dobrze, tak błogo i cicho, że nie schodziłbym z tej drogi nigdy. Ale doszedłszy do bocznej uliczki, mimowoli skręciłem w nią, gdyż tu stało moje domostwo.

Otworzyłem furtkę i zatrzymałem się w zdumieniu. Ogródek wyglądał, jak zaczarowany: na każdej gałązce, każdym listku, każdej trawce perliły się duże, srebrzyste krople, spadające niekiedy z hałasem i rozpryskujące się na milion drobnych cząsteczek.

Pobiegłem szybko do domu, wziąłem pled i rozciągnąłem się wygodnie tuż pod płotem tam, gdzie trawa była największa. Książka leżała obok mnie nietknięta. Puściłem wodze myślom.

Leżałem tak długo, bardzo długo, może godzinę, może znacznie więcej. Ocuciły mię dopiero czyjeś powolne kroki i rozmowa.

Tak rzadko tędy kto przechodził, że zerwałem się na równe nogi i wyjrzałem ciekawie na drogę. Była to ta sama para, której rozmowy podsłuchiwałem niedawno. Ukryłem się czemprędzej po za wielkim krzakiem berberysu i czekałem.

Zbliżyli się wkrótce. Brunecik obejmował wpół swoją żoneczkę i coraz bardziej zbliżał twarz swoją do jej twarzy.

— Więc kochasz mię jeszcze? zapytał pieściwym, słodkim głosem.

Odpowiedzi nie usłyszałem. Utonęła może w szeleście pocałunków, jakie spadać teraz zaczęły gęsto, gęsto...

Spojrzałem na niebo. W górze rozciągał się głęboki nieskazitelny błękit, ale daleko na zachodzie żeglowały jeszcze pośpiesznie po nad lasem białe srebrzyste obłoczki, niby ostatnie echa, minionej dawno burzy.

Edward Maliszewski.

Polska mowa.

Ukochaj dziatwo! słowo rodzinne,
Skarb twój najdroższy, wspaniały!
Tem słowem usta twoje niewinne,
Pierwszy paciorek szeptały!

A co po Bogu najdroższe, dziatki!
Dla duszy tkliwej i czystej:
Słodkie imiona ojca i matki,
Wzięłyście z mowy ojczystej.

Pierwsze wrażenia, pierwsze pojęcia,
Pieśń, ptaszka, kwiatki w dąbrowie,
Co zajmowały umysł dziecięcia,
W tej tłumaczono wam mowie.

Nie tylko kraj ten, w którym żyjecie,
Ojczyzną waszą się zowie:
Bo jest i druga ojczyzna, dziecię,
Co w polskiem mieści się słowie.

Z głębi serc polskich nurty żywemi,
Rwie się jak rzeka wspaniała:
To mowa ojców, co naszej ziemi,
Nazwisko „Polski“ nadała.

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska;
To znów się ozwie jękiem boleści,
Że aż łzy z oczu wyciska.

Bo w niej się chowa moc tajemnicza,
To czarodziejska moc wróżki:
Co raz ją zmienia w pieśń Mickiewicza,
To znowu w hasło Kościuszki!

Więc czcij to słowo, co się u świata,
Okryło zasług wawrzynem!
Bo kto niem gardzi, albo pomiata,
Ten złym ojczyzny jest synem!

Władysław Bełza.

Z legend o Matce Boskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

W każdą sobotę musi choć na chwilę jasne słoneczko złotem okiem błysnąć, choć jeden promyk musi strzelić z nieba i spaść na ziemię niebieskim uśmiechem, by wszystkim dzieciom rozjaśnić oczęta i wszystkim matkom rozpogodzić twarze.

W każdą sobotę sam Pan Jezus każe choć odrobinę słonka rzucić ziemi, bo kiedy na niej dziecięciem przebywał, to Macierz Jego przy zdroju co rano giezłeczka prała dla Swojego Syna i sama one suszyła na słonku, aby Dzieciątko na świętą niedzielę białością szaty jaśniało w kościele.

Brała aniołów zazdrość o tę pracę, lecz się nie śmiały sprzeciwić Panience, wiedząc, że dziecku każdemu na ziemi najlepiej służą macierzyńskie ręce i żaden anioł matki nie zastąpi...

W każdą sobotę, czy zimą czy latem, musi się słońce uśmiechnąć nad światem, by na pamiątkę Jezusowych latek błysnąć pogodą w sercu ziemskich matek.

I w wielkanocną musi też niedzielę, choćby w największą i najgorszą słotę, choćby szczeliną przez najgęstsze chmury przecisnąć z nieba swe promienie złote, by Matka Boska na różach rozpiętą, mogła wysuszyć swą zasłonę świętą.

A tą zasłoną dusz Pocieszycielka sierotkom w niebie łzy ociera z oczu i w niej na ziemię schodzi w odwiedziny, bo kiedy świat Ją cały Matką zowie, musi jak matka nad tym światem czuwać i w Swej opiece chować go matczynej.

Gdyby nie Ona, poplecznicka ludzi, Boży gniew dawno zatraciłby ziemię dla grzechów, które Adamowe plemię, jak brzydkie chwasty od wieków rozsiewa.

Zły duch te chwasty rozplenione zrywa i rzuca w niebo z urągliwym śmiechem, jakby się Bogu chełpił ludzkim grzechem.

Ale na niebie Matka litościwa modłami swemi gniew Boży uśmierza i Swoją dłonią, gdzie może, zasłania to miejsce, w które grom kary uderza i choć ją ludzka nieprawość zasmuci, wciąż ufa jeszcze, że się świat nawróci.

Była już chwila raz zaguby blizka...

Bywało, strasznie broili ludziska i jako powódź wezbrały ich winy, bryzgając szumem i pianą pod niebo.

Swiat się zepsował zbrodnią i niecnotą, duch ludzki grzęznął coraz głębiej w błoto, w człowieczych sercach lęgły się gadziny.

Za dużo było Bogu tej swawoli...

Więc jak nie wstanie ze swojego tronu, jak nie namarszczy groźnych brwi na czole, że z nich piorunów łysnęło

tysiące, aż całe niebo zatruchlało drżące i wszystko żywe zmartwiało na dole!...

Nastała nagle cisza wielka, głucha.

Zlęknione niebo, trwożna ziemia sucha, a w grzmotach samych zabrzmi wśród przestworzy, takiemi słowy potężny głos Boży:

— Ludzie, win waszych dopełniona miara — i wyczerpane źródło nieprawości!... chcieliście kary, więc się spełni kara; bez miłosierdzia będę i litości, na ziemię waszą srogi głód sprowadzę i grzesznych razem z grzechami ich zgładzę!....

I jak powiedział Bóg — tak było.

Wonczas strach wielki padł na ludzkie plemię; okrutna plaga stratowała ziemię, słońce ją żarem zlewało dnie całe, a niebo było od gorąca białe.

Powiędło wszystko w okół i zmarniało; nawet źdźiebełka trawy nie zostało, nawet listeczka na drzewach w tej suszy....

Łany i pola miały barwę płową, jak na pustyni piasek wypalony...

Znikały źródła, wysechały rzeki i koniec świata zdał się niedaleki, bo ludzie marli z głodu i pragnienia i jako suche gałęzie sczerniałe i pokręcone od suszy i spieki, padali nagle i w kurczach głodowych wijąc się strasznie, chwytali ustami spaloną ziemię zamiast pożywienia.

Pan Bóg odwrócił Swe święte oblicze i nie chciał patrzeć na męki grzeszników.

Ale patrzała Matka Boża z nieba; lica Jej zbladły, serce drżało w łonie, i żal Ją wielki zdjął nad dolą ludzi, którzy głodową mieli wymrzeć śmiercią.

Patrzała z nieba smutna i strapiona, jak zalękniona gołębica biała i nad tą ziemią na męki skazaną cichemi łzami z żałości płakała.

A mrący ludzie podnosili głowę i nagle w duszę weszła im otucha... może Bóg jęków i próśb ich wysłucha, może przebłagać da się zagniewany, bo oto każda litościwa łezka, którą uroni Królowa niebieska, spadając z góry w dół, na ziemskim prochu zmienia się nagle w drobne ziarnko grochu, a groch ten zaraz rozrasta się, pleni i ludzie przy nim wstają pożywieni i sił im nagle wraz z życiem przybywa.

— Błogosławionaś Matko litościwa!...

Bóg Ojciec spojrzy, usłyszawszy głosy, co z dziękczynieniem lecą pod niebiosy i pyta, skąd się w potępionym rodzie, bierze nadziei ten głos i ta siła?... a Marya Panna przed Nim chyli skronie i rzecze, wznosząc złożone swe dłonie:

— Tom ja go łzami memi nakarmiła!....

Więc Bóg ujęty litosną ofiarą, odpuścił ludziom resztę win i kazał, by anioł Gabryel resztę kary zmazał i ziemię znowu uczynił im płodną, aby nie była więcej ludzkość głodną.

Maryan Gawalewicz.

Kronika.

Zakazy, nakazy, ukazy, rozkazy sypią się jak z rogu obfitości, a przeważna część tych najrozmaitszego rodzaju rozporządzeń zwraca się przeciwko naszemu językowi, przeciwko językowi, którym mówi 20 milionów Polaków.

Panowie ministrowie zapominają, wydając swoje zakazy, że krzywdząc nas, krzywdzą również Polaków z za kordonu rosyjskiego i austryackiego i tych, co w dalekiej Ameryce. Taki zakaz, o ile jest przykrym dla nas, działa jak prąd elektryczny.

Puszczony na jedną część ciała, oddziałuje jednak na całe ciało — zakaz taki staje się więc wbrew woli pruskich ministrów momentem dodatnim, bo wszyscy odczuwają z nami krzywdę wyrządzoną językowi ojczystemu i czują się w takich chwilach braćmi, synami jednej matki. Moment to bardzo ważny — a za mało uwzględniany przez ministrów pruskich.

Lecz kwestye polityczne pozostawiam na uboczu.

Gdy moja Kronika się ukaże, już druhy Sokoły będą w Poznaniu — już ich druhowie miejscowego gniazda, które nie szczędziło starań, aby do zlotu godnie się przygotować, powitają serdecznem i szczerem: Czołem!

I ja wołam: Czołem Sokołom, czołem gimnastykom polskim, czołem drużynie, która mimo wszelkich trudności stara się hartować ducha i ciało!

W niedzielę naczelnik związkowy, druh Gładysz, z dumą spojrzy na liczne zastępy, zebrane na ćwiczni — a ci wszyscy, którzy kiedykolwiek pracowali dla Sokoła i ci, którzy i dziś jeszcze dla niego pracują, w duchu powiedzieć sobie mogą, że praca ich nie była płonną.

Jestem też przekonany, że na placu ćwiczeń zjawią się także liczni widzowie, aby etat miał także sukces materyalny i znowu przybyło kilka cegiełek do zapasu przeznaczonego na budowę sali gimnastycznej.

A propos tej budowy, wydaje mi się, że sprawa nieco za wolno się rozwija. Zdaje mi się, że z funduszem, który jest w posiadaniu Sokoła, możnaby już przystąpić do budowy. Niechcę jednak sprawy przesądzać, bo miarodawczą jest w tej sprawie komisya budowlana Sokoła. Mówiąc o jednym projekcie budowlanym, warto i o drugim wspomnieć — to jest o projekcie budowy „Domu przemysłowego.“

Ile mi się zdaje, zapadła uchwała, że budowa ma się rozpocząć z dniem 1go października. Wiem, że zakupione wielkie domostwo przy placu Wilhelmowskim ma być zrzuconem i w miejsce jego ma stanąć nowy gmach. Wiem, że wypowiedziano mieszkańcom domostwa mieszkania i składy na 1go października, wiem, że nagrodzono trzy szkice budowlane, ale nie wiem, czy budowa istotnie się rozpocznie w oznaczonym czasie i nie wiem, skąd się wezmą pieniądze na budowę.

Wydaje mi się, że o pieniądze nie trudno byłoby się postarać, gdyby tylko była jakaś silna *wola* do wprowadzenia w życie projektu, którego wykonanie zdaje mi się niezbędnie potrzebnem, choćby tylko ze względu na salę dla zebrań.

Faktycznie nie ma w Poznaniu ani jednej sali w polskiem ręku, odpowiedniej do wieców najrozmaitszego rodzaju. Stara Bazarowa sala zaledwo wystarczy na zebranie Kółek rolniczych i miejscowe zebrania wyborcze, lecz pomieścić nie może wszystkich, gdy się zapowie wiec w sprawie języka polskiego.

Sale Domu katolickiego, bardzo zresztą ładne, także nie są dostateczne dla większych zebrań, faktem więc jest, że musimy szukać sali w niemieckich zakładach ogródkowych.

Prawie wstyd pisać, ale prawdą jest, że Poznań, mimo gwałtownej potrzeby, nie może się zdobyć na wybudowanie tak potrzebnego Domu przemysłowego.

Zdawało się, że skoro Towarzystwo zakupi dom, obywatelstwo tłumnie zakupywać będzie udziały. Kupiono ich wprawdzie sporo, lecz w żadnym razie nie tyle, ile się spodziewano, a w każdym razie w niedostatecznej sile.

Fundusz Towarzystwa jest za mały, a żaden z banków polskich nie ma odwagi, z uzasadnionych zresztą przyczyn, do finansowania przedsiębiorstwa.

I tak sprawa ta ciągle się obraca i tkwi w komisyach i postępów jest nie wiele.

No, ale jakoś to będzie!. — Powoli, powolutku z ostrożnością, bez pospiechu, z należytą rozwagą — weźmiemy się do budowy i przy sporej dozie cierpliwości będziemy mieli „Dom *Przemysłowy*“ — bardzo zresztą stosownie nazwany, bo długo nad budową jego *„przemyśliwano!“*

Donoszę jeszcze, że szanowny magistrat miasta Poznania dał też subwencyą na zwiedzenie wystawy paryskiej p. Marcinowi *Andrzejewskiemu*, przemysłowcowi *Polakowi*.

Subwencyą taką uzyskało kilku Niemców, a *jeden* tylko *Polak*, co jest bijącym w oczy dowodem niezwykłej sprawiedliwości i względności szanownego magistratu polskiego miasta Poznania dla polskiego przemysłu. O jak ja wierzę tej życzliwości!...

Verus.

Z Berlina nadesłano nam poniższy wiersz:

Ku uczczeniu pamięci
przedwcześnie zgasłego
Kazimierza Janowskiego.

Niedługo bawił pomiędzy uczniami,
Których był wodzem a kraju ozdobą,
Nie długą się cieszył pracą między nami,
Rodaków opuścił i okrył żałobą.

Jak kwiat zerwany przez wichry i burze
Padł w młodym wieku w śmierci objęcie,
Gdy świat miał mu dawać lilije i róże —
Zastygło serce, — i prysło marzenie.

Dziś modły kapłanów i współbraci łkania
Ku niebu się wznoszą, gdzie Bóg przed-[wieczny...
Przyjm więc ostatnie nasze pożegnania,
Spoczywaj na wieki — Tyś już bezpieczny.

Czytelnik „Pracy“.

Zamieszczając wiersz powyższy nadmieniamy, że ś. p. Kazimierz Janowski wśród kolonii berlińskiej na długotrwałą zasłużył sobie wdzięczność swą cichą, skromną pracą, którą się odznaczał przez szereg lat sam jeden prowadząc szkółkę polską. — R. i. p.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Wyszło z druku dzieło W. Lutosławskiego p. t. „*Z dziedziny myśli.* Studya filozoficzne. Nakładem Jana Fiszera, Warszawa i Kraków 1900.“

Nowe to dzieło stanowi nader popularny wstęp do filozofii dla samouków, obejmuje bowiem główne zasadnicze kwestye, obchodzące każdego, co chce uzupełnić swoje ogólne wykształcenie przez pewną znajomość filozofii. Gorąco szczególniej możemy je polecić kółkom samokształcenia, uczniom i nauczycielom.

Cena dzieła broszurowanego w Niemczech 3,50 mk., w oprawie 4 marki.

* * *

„*Wykład ekonomii politycznej.* Podręcznik dla uniwersytetów ludowych i dla samouków. Napisał Władysław Studnicki — Gizbert. Kraków. Nakładem autora 1900.“

Obecne wydanie tej książki jest na dobie wobec zainteresowania się naukami społecznemi i politycznemi tych warstw, co z losem nie mogą się pogodzić, które więc poszukują wiedzy społecznej dla wykrycia dróg do lepszej przyszłości wiodących.

Walka klasowa i walka narodowa, ciągle się kombinujące, muszą być udziałem tych warstw. W podręczniku swym zwrócił autor uwagę na to, że obie te walki, wypełniające dzieje ludzkości, były i są czynnikiem postępu. *r.*

Program ogólnego zlotu „Sokołów“ w Poznaniu

dnia 11-go i 12-go sierpnia 1900.

W sobotę dnia 11: Przyjmowanie gości przyjeżdżających na dworcu przez komisyą kwaterunkową.

Wieczorem przyjęcie gości w lokalu posiedzeń druha Fischbacha w „Eldorado“, ulica Bismarka. Koncert w ogrodzie wykona orkiestra druha Iwankowskiego z Poznania. Początek koncertu o godzinie 7.

W niedzielę d. 12: O godzinie pół do 6-ej rano próba ćwiczeń na boisku. O godz. pół do 7 ćwiczenia zawodowe zastępów.

O godz. 9 Msza św. w kościele Bożego Ciała.

O godzinie 10 i pół dowolne śniadanie w „Eldorado“.

O godzinie 11 i pół przywitanie gości i otwarcie zlotu tamże.

Po południu o godzinie 4 koncert orkiestry druha Iwankowskiego w ogrodzie druha Majchrzyckiego (Villa Flora).

Ćwiczenia zlotowe na przyległem boisku (ujeżdżalnia p. Lohmeyera):

a) ćwiczenia wolne (wspólne);
b) ćwiczenia dowolne gniazd;
c) reje kolarzy;
d) ćwiczenia maczugami (wspólne);
e) zawody jednostek: rzucanie dyskiem, oszczepem, skok o tyczce;
f) piramidy wspólne.

Ceny miejsc: W sobotę do ogrodu „Eldorado“ na koncert 50 fen. od osoby. W niedzielę do ogrodu druha Majchrzyckiego 30 fen., do ogrodu a zarazem miejsce do stania na boisku 75 fen., miejsce II do siedzenia na ławkach 1 mk., miejsce I do siedzenia na przednich ławkach 1,50 mk., miejsce na trybunie 2 mk.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiące sierpień i wrzesień.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na sierpień i wrzesień

tylko 67 fenygów.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału najpóźniej w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką II t. Nr. 86.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Sąd Boży“ itd., otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i 30 fen. w znaczkach na porto.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Komu zależy na tem, by z czasem mieć pokaźną

biblioteczkę domową

polskich dzieł wyborowych, a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech *30 centów,*

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

„Czytelnia Polska“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką „Nachtrag 5 t. 13 a.“

Kto raz „Czytelnię Polską“ zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi co tydzień

w formacie książki w objętości 24—32 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowi w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt jest dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Wiadomości.

W piątek, dnia 3 b. m. toczył się przed tutajszą izbą karną proces o „Czytelnię Polską“ przeciw wydawcy i redakcyi oraz przeciw całemu personałowi administracyi i drukarni „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“. Prokurator wniósł na wydawcę o karę 2 miesiący więzienia, a na spółoskarżonych o znaczną karę pieniężną. Atoli dzięki świetnej obronie p. mecenasa Chrzanowskiego, sąd, pomimo obciążających zeznań tajnego komisarza policyi politycznej i asystującego policyanta, uwolnił tak wydawcę jak i spółoskarżonych od wszelkiej winy i kary, a koszta sądowe nałożył kasie państwowej.

Stan zdrowia Najprzew. X. Arcybiskupa Stablewskiego o tyle się poprawił, że Arcypasterz zaniechał na razie myśli o dalszej kuracyi i bez żadnego wyręczania sam sprawy dyecezyalne załatwia; X. oficyałowi pozwolił wyjechać do wód dla poratowania zdrowia.

W sprawie polskiej nauki prywatnej wydał najwyższy sąd administracyjny podług „Deutsche Juristenzeitung“ wyrok, który odmawia władzy policyjnej prawa wkraczania w zakres nauki prywatnej. Tylko na podstawie wezwania sądowego jest jej współdziałanie potrzebne, jak się to dzieje przy wyznaczaniu i ściąganiu kar za zmudę szkolną i w przypadkach, dotyczących ogólnego interesu policyjnego, gdy powstają zaburzenia, zakłócające spokój publiczny i bezpieczeństwo, lub gdy grozi niebezpieczeństwo społeczne.

Do Chin! Dowiadujemy się, że pomimo naszych prośb i uwag znalazło się trzech a może i więcej nawet żołnierzy-Polaków, którzy, niebaczni, na ochotnika wybrali się do Chin, aby tam pomścić rzekome krzywdy niemieckie, a właściwie, aby położyć życie w ofierze za zaborczą politykę pruską.

Niepomogły więc nasze prośby, skoro

aż trzech się znalazło takich, co zapomnieli, że nie po to ich matka-Polka wykarmiła, aby szli uciemiężać obce narody, gdy własny ich naród leży poćwiartowany u stóp zdobywców.

Matki-Polki, których synowie poszli złożyć swe kości na niegościnnych pustyniach dalekiego Wschodu, — zmówcie za ich dusze modlitwę, bo gdy padną, ani wy wiedzieć nie będziecie, ani nikt nad ich grobem pacierza nie zmówi.

Wysyłkę powieści „Pod maską“ już rozpoczęliśmy. Powieść tę, zbroszurowaną, obejmującą przeszło 120 stron w wielkim formacie książkowym, otrzyma każdy nowo przybyły czytelnik, jeżeli nam nadeśle franko kwit abonamentowy z poczty i 60 fen. w znaczkach pocztowych. Nieabonenci mogą nabyć tę powieść bardzo ciekawą i nadzwyczaj sensacyjną **tylko u nas** za nadesłaniem franko 1-ej marki najlepiej w znaczkach pocztowych. Ponieważ zamówienia na powieść „Pod maską“ mnożą się z dniem każdym, więc radzimy Czytelnikom, aby się w powieść tę zaopatrzyli jak najprędzej, dopóki zapas starczy.

Broszurka wiecowa, zawierająca wszystkie przemówienia i rezolucye, także telegramy i listy z powodu Wieca na ręce komitetu nadesłane, wyszła z druku. Rozsyłka zamówionych egzemplarzy już się rozpoczęła. Prosimy o dalsze zamówienia i to na ręce p. Janiny Omańkowskiej ul. Wiedeńska 10. Cena egzemplarza 10 fen., 10 egz. 1 mk. z przesełką 1,30 mk., 25 egz. 2 mk. z przesełką 2,50 mk., 50 egz. 4 mk. z przesełką 4,50 mk. Dodajemy, że czysty dochód ze sprzedaży broszurek przeznaczony na zakupno elementarzy dla biednych dzieci — a potrzeba tych elementarzy tem gwałtowniejszą się stała po ostatniem rozporządzeniu ministeryalnem. Komitet.

Do skompletowania kwartalników są nam potrzebne numera 26 i 27 z b. r. — Szanownych Czytelników prosimy o nadesłanie nam tychże, a wywdzięczymy się im za to w inny sposób.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego nadesłali w dalszym ciągu ze Swierczyna pod Osieczną: p. Jan Filipowski i towarzysze 5 mk. z następującym dopiskiem: Wołamy: Niech nam jeszcze długo żyje i pracuje na tej niwie, gdyż my młodsze pokolenie jemu mamy do zawdzięczenia, że kochamy i miłujemy Ojczyznę nieszczęśliwą i język nasz kochany, gdyż książki Jego i pisma tchną prawdziwą miłością i znajdują się — można powiedzieć w każdym domu. A więc On dożył tej pociechy, że księgi Jego dostały się pod wieśniacze strzechy — niech żyje!

Razem złożono dotąd 149 mk. 23 fen. Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Na pomnik dla męczenników Unitów chełmskich we Lwowie przysłał p. L. K. z Kuchar 1 mk. — Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Na kościół św. Barbary w Janówcu przysłała pani A. Łucka z Jaremcza w Galicyi 2 korony czyli po zamianie 1,70 mk. — Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

60-letni jubileusz kapłaństwa obchodził w Glinianach dnia 6 b. m. X. Leonard Aleksander Wierzchowski, od lat 45 proboszcz gliniański. Jubilat liczy 84 lat wieku. Ad multos annos! — Red. „Pracy“.

Gniezno. Naszej publiczności z miasta i okolicy wiadomo, że handel bławatny p. Koppego przejął p. Herbst ze Strzyżewa, przekazując kierownictwo tegoż p. Mąkowskiemu, swemu zięciowi, rutynowanemu kupcowi w tej gałęzi przemysłu. Przekonani jesteśmy, że trzej nasi bławatnicy, pp. Kulesza, Żychliński i Herbst (Mąkowski) wyrobią sobie świetną egzystencyę, skoro tylko szanowna publiczność zechce ich zawsze i wszędzie życzliwie popierać. Nie chodźmy do tych, którzy z nas za nasze pieniądze szydzą i wyzwiskami polski personał i klientelę polską obrzucają.

Kościan. W czwartek dnia 26-go lipca odbyła się tutaj rzadka uroczystość przeniesienia kości nieboszczyków ze starego cmentarza, leżącego w środku miasta, na nowy cmentarz. Większą część kości przewieziono w ostatnich dniach na wozach i złożono w obszernej mogile, na której ma stanąć kaplica, na cmentarzu obecnie używanym. Resztę kości przewieziono w czasie eksporty w czterech trumnach na miejsce spoczynku. Kondukt żałobny prowadził X. prob. dr. Surzyński w asystencyi miejscowych księży, któremu towarzyszyło kilka tysięcy ludzi, tudzież wszystkie cechy i bractwa kościelne ze świecami i chorągwiami. Po drodze grała orkiestra w pewnych odstępach żałobnego marsza Chopina.

Ślub. Dnia 30 lipca r. b. odbył się w kościele opalenickim o godzinie 5 po południu ślub między panem Arturem Gustowskim, kupcem z Opalenicy, a panną Heleną Surmą z Bydgoszczy. Aktu kościelnego dokonał X. prob. Gustowski z Opalenicy, stryj pana młodego, w asystencyi X. wikaryusza Dużyńskiego, który w pięknych słowach od ołtarza przemówił do młodej pary. — Uczestników weselnych podejmował ze znaną staropolską gościnnością X. prob. Gustowski. Młodej parze: Szczęść Boże!

Rozdzień. Baczność! Tutejsze Towarz. gimn. „Sokół“ odbyło w niedzielę 29 lipca r. b. na sali p. Reich'a swe walne zebranie. W zakres nawego zarządu wchodzą: dr. Wilhelm Pohl, prezes, Kleofas Szeliga, jego zastępca, Jan Badura, sekretarz, Jan Wolff, zastępca, Jan Loga, skarbnik, Ig. Kosmalla, zastępca, Fr. Widera, naczelnik, Aleks. Jałowiecki, zastępca, Karol Pronobis, gospodarz i bibliotekarz, Józef Skocz, 1-szy ławnik, Fr. Lipiński, 2-gi ławnik. Wszelkie listy, tyczące się spraw Tow., należy nadsyłać na ręce sekretarza Jana Badury w Rozdzieniu, ul. Bogufała 10. — Czołem!

Wydział.

Polacy na obczyźnie. Wiec polski w Duisburgu odbył się w przeszłą niedzielę po południu przy dosyć licznym udziale rodaków. Wiecowi przewodniczył prezes „Związku Polaków“ p. Funtowicz z Essen. Z kolei przemawiali pp. A. Brejski, Szłapiński, Regulski, Sieradzki itd. Mówcy omówili obszernie położenie dzisiejsze Polaków w zaborze pruskim, szczególnie zaś Polaków na obczyźnie. Nie brakło więc zachęty do gorliwego starania się o zachowanie dla siebie i dzieci wiary św. i języka ojczystego, do pielęgnowania cnót trzeźwości, oszczędności itd. Żalono się też na brak dostatecznej opieki duchownej, na trudności, czynione przez policyą Towarzystwom polskim itd. Ubolewano, że choć w Duisburgu około 500 Polaków mieszka, do Towarzystwa należy tylko około 120 osób. Poruszono także sprawę pisania nazwisk polskich w urzędach stanu cywilnego, zachęcano do czytania pożytecznych książek i gazet, wogóle poruszono niemal wszystko, co Polaków w dzisiejszych smutnych czasach interesuje.

Wiecownicy z wielką uwagą wysłuchali przemówień i pokrzepieni na duchu opuszczali salę. Na zakończenie zaśpiewano pieśń „Serdeczna Matko.“

Z prowincyi.

Czytajcie „Pracę“ z Poznania!
Ona jest godną uznania,
Broni Polski, broni Boga,
Lecz siarczyście bije wroga.

S. D.

Zmarli.

Magdalena z Niegolewskich Rekowska w Niegolewie pod Bukiem w Poznańskiem w 71-ym roku życia.

Marya z Weyhanów I voto Ukowska, II voto Szyfter w Stęszewie.

Katarzyna Tomaszewska z domu Utaś w Gnieźnie.

Józef Chróściński w Gnieźnie.

Od Redakcyi.

P. Urbański. Prosimy o dalsze listy, zastrzegamy sobie jednak, że o faktach, które Pan nam podaje, nie powinno się rozpisywać równocześnie do innych pism, bo w takim razie my, jako tygodnik, nic nowego przynieśćbyśmy nie mogli czytelnikom. U nas list choć po paru tygodniach do druku przyjdzie, jeśli ważny, i nikt niechaj się zbytecznie nie niecierpliwi.

Dr. F. S. Dramatu dr. Rakowskiego „Ocknienie“ cenzura do Warszawy nie przepuściła. Co zaś do artykułu, o który się Pan pyta, to osobno on odbity nie został. Wyszedł w lipcowym zeszycie „Przeglądu polskiego“ w Krakowie p. t.: *Ekonomiczne i społeczne stosunki w W. Ks. Poznańskiem.* Był to pierwotnie odczyt, który dr. Rakowski wygłosił swego czasu we Lwowie.

S. S. O. 25. Udaj się Pan po informacye w tej sprawie do księdza Przeora OO. Jezuitów w Krakowie.

S. L. w P. „Kuryer Warszawski“, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 40 da Panu najlepszą informacyę; proś Pan o odpowiedź listowną.

Panu W. w Grünau pod Berlinem. W zakładzie Garczyńskiego, na przedmieściu poznańskiem Wildzie Rejencya w Poznaniu ma zarząd i t. p. nad tym zakładem, więc udaj się Pan do rejencyi w tej sprawie. Bliższą informacyą służyć nie możemy.

Wielbicielowi. Za tak serdeczne i pełne uznania słowa dla „Pracy“ najuprzejmiej dziękujemy. Na strażnicy najświętszych spraw naszych narodowych staliśmy, stoimy i stać będziemy niewzruszeni *usque ad finem!*

Pani Bolesławie K. w Berlinie. Książeczkę z toastami, wierszami okolicznościowemi itp. nabyć Pani możesz w „drukarni Fr. Chociszewskiego w Poznaniu, ulica Wodna.“

Panu Fr. B. w K. H. Oferty ożenkowej reklamować nie możemy. Umieść Pan anons o zakładzie odnośnym, a chętnie Pana polecimy.

Panu M.... w Paryżu. Z łaskawej oferty korzystać nie możemy.

L. Kotecki, Podlesie kośc. Życzony numer wyczerpany.

Humorystyka.

To i owo.

Ludniej w mieście — bo ogórek
Już się kończy; wraca życie,
I niejeden z miasta nurek
Powróciwszy, biada skrycie.
Ci co w badach się bawili,
Jakieś kwaśne miny mają,
Snać, że kieszeń wypróżnili,
Dziś im ckliwo — poziewają.
Młodzież w szkolne wraca ławy —
Opróżniają planty dzieci,
Słońca mamy blask już mgławy
I pożółkły liść też leci.
Przybywają nam wydatki,
Nie nastarczy grosza kieszeń —
Prowijanty, żona, dzieci,
Prawa swoje rości jesień.

Zajść ulicznych mamy wiele,
Choć policya niby strzeże,
Lecz się składa i tak ściele,
Że powtórzyć strach aż bierze.
W południowej dnia godzinie,
Dziewczę młode — urodziwe,
Gdzieś bez wieści znikło — ginie,
To zdarzenie jest prawdziwe.
A choć śledzą i szukają,
Rezultatem domysł prosty,
Różnie o tem ludzie bają —
Kto zawinił — spalił mosty.

Dziś ulicą iść obawa,
Cykliści się uwijają,
A choć pono jest ustawa —
Z niej żartują — najeżdżają.
Bądź plantami, trotoarem,
Mknie jak warjat mimo drogi,
Pchnie, przewróci — zmyka cwałem,
Folblud rączy choć dwunogi.
Nikt nie weźmie nas w obronę,
Ma protekcyą samowola,
Bezpieczeństwo zagrożone —
Gdzie nie spojrzeć to — zła wola.

Źle się dzieje, źle się robi,
Obosieczna broń w użyciu,
Rycerz, co go pałasz zdobi —
Tnie i rąbie — grozi życiu.
Wyjątkowy czas zniesiony,
Został prawie zapomniany —
Lecz ów rycerz rozwścieczony,
Mimo tego zadał rany.
Bezbronnego — bez nagany,
Bić, mordować — to nie sława,
Czy to na to pałasz dany?
By stanowił krwawe prawa?

W „Parku“ festyn był nielada —
I wesoło się bawiono,
„Czołem“, jak Sokół powiada,
Niczego tam nie szczędzono.
Ognie sztuczne, piwo, hara,
Jedna wiara się jednoczy —
Śpiew wesoły, rejwach, gwara,
Śmiało biedzie patrzy w oczy.
Różne figle, różne psoty,
Komplementa, epitety,
Podniecały do ochoty —
Jak to zwykle takie wety.

J. Z.

Naśladuj.

Naśladuj mrówki, podczas wędrówki!
Wszak będziesz sobie, dość drzemał —
[w grobie!

Rozrzutność i oszczędność.

Rozrzutność to złodziej, co i krocie zjada,
Oszczędność — dobrodziej, który mnóst-
[wem włada.

* * *

Dysonans.

O spadek z niebiosów, błaga krocie głosów,
Lecz któraż istota, chce przejść śmierci
wrota?

* * *

Kandydaci na urząd.

Raz w podwórzu przed kurnikiem,
Zaszły między drobiem swary,
Każdy chciał być naczelnikiem.
Wtem się ozwał kaczor stary:

Kto najgłośniej będzie umiał
Powiedzieć o sobie zdanie,
Żeby każdy go rozumiał,
Ten naczelnikiem zostanie!

Brawo! wszyscy zawołali!
Piękna rada, — myśl prawdziwa;
Chętnie będziem jej słuchali,
Więc się gąsior tak odzywa:

Ja na ziemi i na wodzie,
Pierwszy jestem pośród gąsek;
A żem przywykł chodzić w przodzie,
Mnie należy się ten kąsek.

Wtem na grzędę kogut skoczy,
Krzyknie: ja mam więcej szyku,
Ja choć zamknę oba oczy,
Umiem śpiewać ku-ku-ry-ku!

Ja najwyżej zwykle siadam,
Ja ogłaszam czasu zmianę;
To też z góry zapowiadam,
Że ten urząd ja dostanę!

Indyk jakby urażony,
Napuszył się jak stodoła,
Krzywi nos na wszystkie strony
I donośnym głosem woła:

Jam w korale już przybrany,
Skrzydła mają zbrojną postać,
Głos mój nawet głupcom znany,
Jam ten urząd winien dostać!

Aż tu kaczor dziób wytyka
I z całego gardła krzyknie:
Wielki głupiec jest z indyka, —
Jego głos, przy moim zniknie.

Jako pływak dobrzem znany,
Krzykiem wszystkich przegłosuję;
Jam też z góry przekonany,
Że nad wami zapanuję.

Górą kaczor! zawołali,
On odznaczył się swym krzykiem
I natychmiast go obrali
Tam zebranych naczelnikiem.

Ktoby nie chciał wierzyć temu,
Niech się spyta mojej praczki;
Ona powie z was każdemu,
Jak są nieraz mądre kaczki.

Józef Rejch,
organista w Chicago.

* * *

W obec siebie samego.

Poważania przed światem może człek się
[dobić,
Na szacunek przed sobą musi sam zarobić!

Kobieta i kwiaty.

Wierszokleta pracując nad czułym poe-
[matem,
Piękność młodej kobiety porównywał
[z kwiatem,
Na to jakiś prozaik, paląc fajkę, rzecze:
— Grubo się waszeć mylisz, poczciwy
[człowiecze,
Bo kwiat o własnej sile barwami się mieni,
A kobieta strój bierze z mężowskiej kie-
[szeni.

W ustach myśliwych.

Gdy myśliwy się rozwodzi,
Z ćmy — o dziwy — słoń się rodzi.

* * *

Wartość człowieka.

Jaka wartość człowieka może być istotna?
Niechaj się nikt zbyt śpiesznie o tem nie
[odzywa:
Po morskiej het powierzchni sunie fala
[lotna,
Drogocenna zaś perła na dnie się ukrywa.

Niepokoje.

— Ach, czemu płaczesz? luba żono!
Czemu faluje twoje łono?
Czemużeś oczki zapłakała —
Ty mój aniele, moja mała?
Dziś twoje przecież imieniny,
Nie miej więc smutnej takiej miny,
Dałem ci pierścień brylantowy,
Więc o cierpieniu niema mowy!
— Ja chociaż czuję niepokoje,
Jednak ci wyznam zkąd łzy moje:
Ot.... niepewności czując dreszcze,
Nie wiem czy... kolię dasz mi jeszcze?

Nasze stokrótki.

Kochała go szczerze... gdy nie przyszedł
[mdlała,
On — wielbił w niej stałość, uczucia
[i cnotę —
Lecz wkrótce innemu swą rękę oddała,
Gdyż — tamten, był biedny... ten miał
[góry złote —
Bo — jakież to szczęście zamężnej ko-
[biety —
Gdy nie ma lokai i własnej karety?!...

X.

Pośrednia droga.

Czyś pesymistą, czy optymistą —
Jedynie błoga: środkowa droga!

* * *

Pewnik.

Gdyby wiedziały nasze kobiety
Ile im szkody robią gorsety,
Toby z pewnością ten pancerz miły
Do gabinetu tortur rzuciły!

* * *

Łakocie partykularza.

Im więcej jaka mieścina
Ślimaka nam przypomina,
Tem bardziej dla niej jest słodki
I najbłahszy owoc — plotki.

Zgoda.

Zgoda to kit, i siły szczyt,
Gdzie zgody brak, zwycięża — rak!

Nienawiść.

Żadna nienawiść tak srogą nie bywa,
Jak owa, która — z miłości wypływa!

Język i serce.

Uwielbiając płci pięknej przeróżne zalety,
Jednakowoż z logiką wciąż jestem w roz-[terce,
Dlaczego to języczek najlepszej kobiety
Nie jest tak pobłażliwym, jak jej złote [serce?

* * *

Z daleka i zblizka.

Kiedy staję na Alp szczycie,
Otacza mnie doskonałość;
Patrząc zblizka w ludzkie życie,
Widzę zwykle zgiełk i małość.

Miodowe miesiące.

Miesiące miodowe sączą owe krople,
Które stygną zwykle w lodowate sople,
Lecz gdzie miłość szczera dwa serca zje-[dnoczy,
Wtedy z tego źródła płynie zdrój uroczy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Nadesłane.

Aby uniknąć szkody, powstałej przy używaniu nożyczek do palenia włosów, mianowicie przeszkodzić wypadaniu włosów, należy używać **„Sadulinu“** ze składu perfumów pod koroną **Józ. Kuhna w Norymberdze.** Skutek tego środka jest cudowny. Proszę przy zakupnie zważać na słowo **„Sadulin“.** Prawdziwy do nabycia od fabrykanta, także w aptekach, drogeryach i składach perfumów.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Doskonali krawcy
na wielkie sztuki znajdą stałe zatrudnienie.
440 **M. F. Orłowski,**
Król. Huta (Königshütte O.-S.) Kronprinzenstr. 4.

Nadesłane.

Rocznie około **milion litrów** wódek zdrowotnych, deserowych itp. wysyła już obecnie sławna fabryka 437

B. Kasprowicza
w Gnieźnie,

a obrót z każdym dniem się wzmaga! Setki tysięcy znawców, smakoszów i lubowników, uznaje też

wódki Kasprowicza za najlepsze.

Pomimo, że fabryka posiada ogromną ilość jedynie najpierwszych nagród, zdobytych na sławnych wystawach w Niemczech i po za granicą, konkurując swego czasu z największemi firmami europejskiemi i światowemi, nie potrzebuje już więcej podobnemi odznaczeniami imponować.

Mianowicie w ostatnich latach wystawia swe wyroby **„bez ubiegania się o nagrodę“** jedynie dla dania sposobności poznania takowych, odnośnym szerszym kołem.

CYGARO
w cenie hurtownej 15—25% taniej jak detalicznie, polecam ako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50	m.
Alma	„ 100	„	2,75	„
La Plata	„ 100	„	3,00	„
Fides	„ 100	„	3,30	„
Quodlibet	„ 100	„	3,50	„
Carino	„ 100	„	4,00	„
Birma	„ 100	„	4,50	„
Berolina	„ 100	„	5,00	„
Lopez	„ 100	„	6,00	„
Carmen	„ 100	„	7,00	„
La Rosedor	100	„	8,00	„
La Espanola	100	„	10,00	„

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75
T. Łaganowski, Poznań,
Chwaliszewo nr. 2.

Hyacynty
w dziesięciu kolorach
(prawdziwe haarlemskie) mianowicie 2 białe, 2 czerwone, 2 niebieskie, 2 żółte, 1 różowy, 1 purpurowy po 1,50 mk. do doniczek po 2 mk. do naczyń szklanych. Szczególniej polecam moje słynne **hyacynty z nazwiskami** i to 10 sztuk w dziesięciu przepysznych gatunkach do doniczek po 3 mk., do naczyń szklanych po 4 mk. **Hyacynty z nazwiskami są najlepsze!** Broszurkę moją, ozdobną w piękną kolorową rycinę, przedstawiającą hyacynty, dołączam gratis do zamówień, bez zamówienia za nadesłaniem **30 fen.** 420
Friedr. Huck w Erfurcie
(Erfurt 27 e).
Adres telegr.: **Hyazinthenhuck.**

„Każdy chory“
odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409.

Spółka Stolarska
w Swarzędzu
poleca swój 411
wielki
magazyn mebli
z dobrego materyału i własnego wyrobu.
Ceny przystępne.
Usługa skora.
Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Pożyczki na hipoteki
na grunta wiejskie i miejskie natychmiast i później. Warunki jak najkorzystniejsze. Prospekt do dyspozycyi.
Allgemeine 90
Verkehrs-Anstalt,
Berlin S. W. 12,
Zimmerstrasse Nr. 87.

Tylko kapsułki Sanidowe
(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez recydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057
Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Tapety
w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190
Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg
(Elbing).

Do mego handlu win, towarów korzennych, łakoci, cygar, nasion i nawozów sztucznych poszukuję
ucznia.
Czas nauki bezpłatnie 3 lata.
Felix Orlicki, Pyskowice G/S.
(Peiskretscham O/S.) 449

Do mego składu towarów kolonialnych poszukuję od 1 września lub prędzej zdolnego 430
subjekta.
P. Głowacki w Pelplinie
(Pelplin W./Pr.)



Wszelkie druki
wykonuje gustownie i po umiarkowanych cenach
Drukarnia „Pracy“
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.



Dobrze polecony młody
subjekt
poszukuje miejsca w składzie towarów kolonialnych od 1-go września lub prędzej. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **G. 431.**

Gimnazyastów
młodszych przyjmuje się na stół i stancyą, zaręczając sumienną opiekę i dozór w naukach przez **prymanera.**
Tenże **prymaner** pragnie także **udzielać lekcyi.** Łaskawe oferty uprasza się do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **S. Z. 439.**

Potrzeba od października:
Nauczycielki doskonałej w muzyce i francuzkiem na 1200 mk. rocznie. **Nauczycielki** egzaminowanej muzykalnej, takiej co była we Francyi na 1000 mk. **Nauczycielki** egzaminowanej muzykalnej na 600—700 mk. **Zarządczyni** domu do Królestwa, na wieś niedaleko granicy na 200 rubli **Bony** muz. z lepszem wykształ. i pozwol. reg. na 400 mk. — Na odpowiedź proszę o znaczek pocztowy. 446
A. Koczorowska,
Nauczycielka, Strzelecka 3 B.

Fröblanki I Kl.
poszukuję zaraz do czworga dzieci 9, 8, 6, $1^1/_2$ roku do Berlina — bliższe wiad. udz. Eksp. „Pracy“ p. l. B. nr. 450.

Skład
duży z wielkiem oknem wystawnem, w większem mieście w bliskości rynku w ożywionej ulicy jest zaraz do wynajęcia. Zgł. przyj. Eksp. „Pracy“ pod lit. G. nr. 454.

UCZNIA
z odpowiedniem wykształceniem syna uczciwych rodziców przyjmie zaraz lub od 1. 10. t. r. 444
W. Barański, Gębice,
Destylacya, handel towarów kolonialnych, delikatesów, win i cygar.

OGRODNIK
kaw. później ożenienie dozwolone, z lepszem wykształceniem ogrodniczem potrzebny od 1-go września z pensyą około 1000 mk. i wolne utrzymanie. Kandydaci, którzy przeszli szkołę ogrodniczą mają pierwszeństwo. Zgłoszenia przyjmuje Centralne biuro zleceń, Poznań, Rycerska 38.

Do mego składu 455
żelaza, szkła i porcelany
poszukuje od 1 października b. r. młodego
pomocnika
biegłego ekspedyenta.
I. Strojny.
Skład żelaza szkła i porcelany.
Pr. Starogard. (Pr. Stargard.)

Skład
wraz z pomieszkaniem
w Swarzędzu przy rynku, w bardzo dobrem położeniu, gdzie dawniej był **skład galanteryjny, szkła i porcelany,** od zaraz lub od 1 października pod korzystnemi warunkami do wynajęcia. Można także każdy inny interes założyć. — Bliższych szczegółów udzieli 432
Cetkowski,
Swarzędz (Schwersenz)

447 **Ucznia**
do handlu z dobremi wiadomościami szkolnemi poszukuje *Antoni Rose,* Poznań-Bazar.

Maszynista,
który musi prowadzić mączkarnią potrzebnym jest od 1-go października roku b. albo i zaraz na ordynaryą do dominium 451
Podlesie, p. Mieścisko.



PASY



Oliwy i tłuszcze.

Pasy skórzane, z sierci wielbłądziej i bawełnian. Gumowe, azbest. towary techn. Skóra do reparacwi pasów oraz na manszety i wentyle. Troki do szycia.

Worki do zboża.
Płachty nieprzemakalne
Oliwy i tłuszcze.
Reparacye pasów uskutecznia się prawidłowo.

Z. Mazurkiewicz,

Fabryka pasów skórzanych, założona 1878 r.

Skład technicznych artykułów dla cukrowni i gorzelni.

Kantor ulica Bismarka Nr. 10. Telefon Nr. 22.

Medale: Bydgoszcz 1880, Lwów 1894, Poznań 1895.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 516

John Fowler & Co., Magdeburg.

Dla średnich i mniejszych gospodarstw

polecają swoje wyroby, jak **młockarnie i maneże, sieczkarnie** konne i ręczne, **wialnie, siekacze** do buraków, **grabie** do siana, **pompy** podwórzowe i ozdobne, **centryfugi** do mleka, **wszelkie części do maszyn** po nader przystępnych cenach. 433

Pleszewska fabryka maszyn
W. Jezierski i Sp.

Reperacye maszyn tanio i trwale. Cenniki na żądanie gratis i franko. Sprzedaż za gotówkę i na raty.

Cegielnia w Przysiece
G. m. b. H. 406

Niem. Przysieka — Dtsch. Presse Bz. Posen
poleca w wybor. gatunku i starannem wykonaniu

tonówkę	**falcówkę**
klinkry	**dachówkę**
cegłę posadzkową	**licówkę i**
sączki	**cegłę formową.**



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen
wie:
Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Uebertäurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder-

Schecken,

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,
wie der:
Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und **Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.
Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

Ostrowo
Königsberg-Tilsit-Posen

Najlepsze i najtańsze
parowe
młockarnie
nadzwczajny snkces



Hornsby'a młockarnie

pojed. Remig. M. 8.0 z ulepszoną konstrukcyą	2900
Lokomobile	
stojące	1800
naftowe	2750
leżące	3700
wiązacze słomy	1200
elewatory	375
kozły do lin drucianych	1:5
prasy do słomy	3300
spiralne młockarnie	475
ostrokątne	113
maneże	145

Zastępcy poszukiwani z odwołaniem się na „Pracę.“

Pierwszorzędna Krotoszyńska
fabryka papy i holzcementu
J. Sierodzki
(zał. 1896 r.) **w Krotoszynie** (zał. 1896 r.)
poleca swój
największy skład angielskiej smoły węglanej, asfaltu, holzcementu, tektury ogniotrwałej, li tylko w najprzedniejszych gatunkach, jako też *wszelkich materyałów do pokrycia dachów,* po jak najtańszych cenach, dostawiając w prowincyi franko do każdej stacyi kolejowej; i wykonuje:
pokrywanie dachów dwupokładowych, pojedyńczych papowych i z holzcementu, jako też *reperacye i renowacye* starych dachów pod gwarancyą i po nader niskich cenach. 251

Fabryka ogniotrwałych tektur na dachy (papy) asfaltu i przetworów smołowcowych
Sobecki & Wrzesiński
w Poznaniu 122

poleca asfalt, papę na dachy w rozmaitych gatunkach, asfaltową papę na fundamenta, kit włóknisty, mastyks i lakier na dachy, smołę preparowaną, lepnik (Klebemasse), holccement, gwoździe (papiaki), carbolineum gudron, asfaltowy filc na dachy itd. itd.
Biuro: w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 20.
Fabryka: w Głównie pod Poznaniem.

Spółka Rolników parcelacyjna
Poznań, ul. Wilhelmowska nr. 18

pośredniczy w sprzedaży i kupnie 360
majątków ziemskich,
parceluje
gospodarstwa, folwarki i majątki ziemskie
w każdej wielkości na rachunek właściciela lub własny; — Wpłaty na kupione parcele bardzo umiarkowane.
Zajmuje się pośrednictwem w
wydzierżawianiu majątków ziemskich
większych i mniejszych.
Do kasy oszczędności
przyjmuje depozyta, płacąc od takowych obecnie:
$3^1/_2$% za każdorazowem wypowiedzeniem,
4% za ćwierćrocznem „
$4^1/_2$% za półrocznem „
za rocznem wypowiedzeniem wedle umowy.
Ma każdego czasu do odstąpienia
hipoteki 5 proc. pierwszomiejscowe.

Kupuję gospodarstwa

na parcelacyą w każdej wielkości i płacę gotówką. 11

L. Mikulski

interes parcelacyjny założony od roku 1892 w Inowrocławiu.

Celem rzetelnego i korzystnego kupna ***większych majętności ziemskich z gorzelniami, borami pp. lub bez takowych, folwarków, gospodarstw większych oraz hoteli itd.*** poleca swe pośrednictwo 335

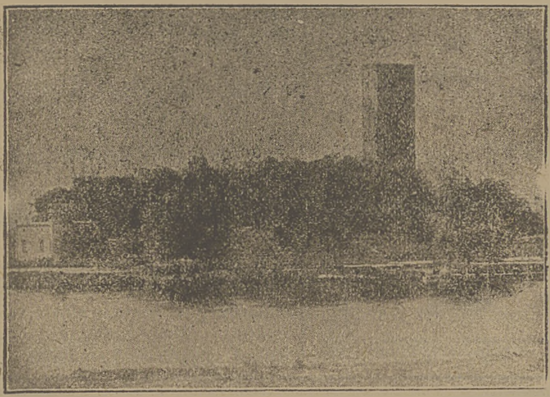
J. Fortuński,
Gniezno, ulica Nowa nr. 6.
Telefon nr. 57.

Polecam dobrze się procentujące **kamienice i hotele w Gnieźnie i na prowincyi** pod bar. korzystnemi warunkami.

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołowaictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające **utrzymanie dostateczne dla rodziny.**

F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.

Firma fundowana 1880 roku.



Restauracya pod Myszą wieżą.

Szanownym Towarzystwom, Panom kołownikom, Kółkom familijnym itd. polecam mój przy jeziorze Gople położony

piękny ogród z kręgielnią i salą do tańca.

Lubownikom sportu polecam moje **łodzie do przejażdżek po jeziorze.** 399

Przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Uniżony

M. Begórski, Kruświca.

Telefon nr. 32.

Mój od 15 lat w Śremie istniejący interes

towarów krótkich, wełnianych i bielizny en gros

przeniosłem do Poznania.

Jak dotąd tak i nadal usilnem mojem staraniem będzie Szanownych Odbiorców pod każdym względem zadowolnić doborowym towarem i nadzwyczaj rzetelną usług.. 426

Z wysokim szacunkiem

S. Rothstein

Poznań, ulica Szeroka Nr. 25 I.

Osiadłem w Toruniu

Mieszkam przy ulicy Szerokiej Nr. 39.

442 **Szuman, adwokat.**

Polecam się do zakładania **ogrodów, parków i utrzymywania ich w porządku, cięcia drzew i innych robót ogrodniczych.**

Również mam zamiar zadzierżawić **2 morgi ziemi.**

Oferty proszę przesłać do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **M. K. Nr. 441.** 441



Podciągi (tragarze) filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 72

w wielkim wyborze i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. 17.

Szanownej Publiczności polecam najuprzejmiej mój 179

pensyonat

na ulicy Wrocławskiej nr. 14, I p., przystanek kolei elektrycznej, na dłuższy lub krótszy pobyt w Poznaniu. Pokoje urządzone z komfortem przy cenach bardzo przstępnych. Kąpiele, tusze itp.

O łaskawe poparcie uprasza

Ignacya Jezierska.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie: w aptece p. Balcerka i w drogeryi l. F. Grochowski Nast.

Piękne loki bezszkodliwych nożyczek do palenia natychmiast tylko za pomocą Kuhna patentowanego Sadulinu (60). Kuhna pomada Sadulin w słojkach (80). Prawdziwe tylko u Fr. Kuhna, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj: u M. Levy'ego, drogerya, plac Piotra 2 i P. Wolff'a drogerya, plac Wilhelmowski 3. 1062

Zielona Apteka

Edmunda Dzierzgowskiego

Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca wszelkie środki zagraniczne i krajowe oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.

$1\frac{1}{2}$ minuty od placu Piotra.

Wierzyciel: Chciałbym nareszcie dowiedzieć się, kiedy pan zapłaci mi moją należność.

Dłużnik: Jakiem prawem wtrącasz się pan w moje prywatne sprawy.

---

4 zdolnych czeladników stolarskich na budowlaną robotę potrzebuję od zaraz jako i każdego czasu.

Borecki, magazyn mebli i trumien z drzewa i metalu, we Wrześni. 448

Wieś

rycerska, ca. 915 mórg incl. ca. 100 mórg przepysznych łąk, ziemia od skiby do skiby pszenna i w kulturze, tylko 4 klm. od dworca i to szosą, budynki znakomite, masyw i prawie nowe, dobry inwentarz, świetne urodzaje, gospodarstwo wzorowe, jedynie dla podeszłego wieku na sprzedaż i to już przy zaliczce 40,000 mk., lecz tylko rodakowi; reszta pieniędzy pozostaje na długie lata.

Na majątku — który słusznie uchodzi za perłę całej okolicy — ciąży tylko landszafta.

Drwęski & Langner,

Centralna Agentura Dóbr

w Poznaniu, Rycerska 38.

Kołdry

(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.



Edmund Paulus

Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 338

Fabryka mydeł

domowych, technicznych i toaletowych

(jedyna istniejąca polska) jest

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie.

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny

Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Centralna Drogerya J. Czepczyński

Hurtownie i detalicznie.

I-szy skład: Poznań, Stary Rynek Nr. 8.
II-gi skład: Inowrocław, ulica Fryderykowska Nr. 1

Telefon Nr. 238.

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach.

Mydło i wszelkie artykuły do prania.
Świece wiedeńskie, kandelabrowe i powozowe.
Herbaty chińskie funt po 1.40, 2.00, 2.50, 3,00 4.00, 5.00 i 6.00 Mr.
Prósze herbaciane funt po 1.40, 1.60 i 2.00.
Czekolady i Kakao Sucharda, Van Houtena, Sobczyka etc.
Oliwę prowandzką.
Essencye octowe i cytrynowe Elba.
Sok malinowy i wiśniowy.

Arak, koniak.
Essencye do wódek wszelkich, za 2,15 ma się 2¼ litra dobrej wódki.
Ekstrakt mięsny Liebiga.
Migdały, szafran, wanilią.
Perfumy, pudry i mydła toaletowe krajowe i zagraniczne w wielkim wyborze.
Dentipuryna Dr. Koszutskiego.
Szczoteczki do zębów, włosów i paznokci.
Gębki toaletowe i do powozów.

Zamówienia po nad 10 Marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.

Specyalność: Farby i lakiery na posadzki. 118

Mydła i artykuły do prania i oświetlania.

F. X. DRZEWIECKI,

ślósarz, 445
Gniezno, ul. Rzeźnicka Nr. 1
poleca się do wykonywania robót w zakres ślósarstwa wchodzących.
Specyalność:
Zakładanie dzwonków elektrycznych i telefonów, mając rozmaite przedmioty do wyboru w zapasie.

Warsztat i skład obuwia

dla panów, pań i dzieci
Karola Ptschyody,
mistrza szewskiego
Gniezno, ul. Wilhelmowska nr. 14.
Wielki wybór
obuwia sezonowego
wszelkiego rodzaju.
Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, 52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena m. 1,80, z przesyłką 2 m. Za nadesłaniem należytości posyłka odwr. pocztą.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Nowość! Nowość!
15 rozmaitych
kart korespondencyjnych
z widokami zdjętemi z obrazów Jana Matejki w pięknej teczce, która może być ozdobą każdego salonu, poleca
za tylko 1 markę.
Skład papieru i materyałów piśmiennych
„Atlas“
W. Kostrzewski,
Poznań, Stary Rynek nr. 48.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowo najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994

Żarty wyprasza się!
Urzędnik etatowy
w jednem z większych miast Ks. Poznańskiego, kawaler, Polak, liczący 35 lat, przystojny, brunet, posiadający obecnie 2400 mr. rocznie pensyi i 2100 marek zaoszczędzonego grosza, poszukuje
żony
z dobrej familii, cnotliwej, gospodarnej, sympatycznej powierzchowności, władająca niemieckim językiem i z pewnym majątkiem. 443
Łaskawe oferty, o ile możności od rodziców lub opiekunów, uprasza się o nadesłanie z dołączeniem fotografii do Eksp. „Pracy“ pod lit. B. Z. 443. Anonimów nie uwzględnia się. Ścisłą dyskrecyą zap. słowem honoru.

Inteligentny Górnoślązak, 24 lat liczący, sympatycznej powierzchowności, posiadający własny interes w jednem z największych miast na Górnym Śląsku, pragnący się ożenić z Polką, szuka na tej drodze odpowiedniej, pochodzącej z porządnej familii 453
towarzyszki życia.
Łaskawe rodaczki wieku do 25 lat, posiadające ca. 6000 marek majątku, mające chęć reflektować na niniejsze ogłoszenie, niech z całem zaufaniem raczą nadesłać w przeciągu czternastu dni łaskawe oferty pod lit. B. 453 do Eksp. „Pracy“. Za ścisłą dyskrecyą ręczy się honorem. Pośrednictwo oprócz rodziców lub opiekunów dla innych wykluczone. Anonimy się wyprasza.

„Levana“
państw. konces.
Zakład naukowy i wychowawczy
w Kötitz-Coswig i S.
pod Dreznem.

Przygotowywania w oddziałach i pojedyńczo
do wszystkich klas wyższych zakładów naukowych!
Osobne kursa dla jednorocznych i podchorążych!
Wydziały specyalne dla:
a) słabopojmujących i niezdolnych do uzysk. promocyi uczniów.
b) umysłowo zacofanych, ale jeszcze zdolnych do wykształcenia chłopców. 157
Szybkie i pewne skutki! Jednostkowe wychowanie!
Najsurowszy porządek domowy! Znakomita pensya!
Przyjęcie każdego czasu. — Prospekta wysyła Dyrekcya.

Przemysłowiec, Polak, kawaler, miłej powierzchowności, w wieku 25 lat, mający rocznie 1500 marek oprócz mniejszych pobocznych dochodów, szuka dla braku znajomości pań, na tej drodze
towarzyszki życia.
Panny lub młode wdowy raczą złożyć łaskawe oferty z dołączeniem fotografii w eksp. „Pracy“ pod lit. A. C. 100. Dyskrecya rzecz honoru. Anonimy się wyprasza.

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.
Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

J. Strzelecki, Mogilno,
(filia w Inowrocławiu).

Panna

przystojna, 21 lat wieku, z posagiem 12 tysięcy marek w gotówce, jest
na wydaniu.
Reflektanci z odpowiednim stanowiskiem zechcą się z zaufaniem do Eksp. „Pracy“ pod lit. W. 452 zgłosić.